



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Dawno nie mieliśmy już żadnej kwestyi na porządku dziennym; jeżeli mówię dawno, to rozumie pod tem kilka tygodni, bo przyznać trzeba, że tego braku u nas się nie uczuwa: zawsze wyłania się na widownię publiczną, albo jakiś projekt, albo jakaś sprawa, nad którą krócej lub dłużej rozprawiamy, polemizujemy; najgorzej gdy się jednomyślnie zgadzamy, bo wtedy najpewniej schodzi ona z porządku dziennego nie załatwiona.

W niedzielnym numerze „Kuiyera Codziennego” znalazłem przecież artykuł, który zakrawa na kwestyę, nie zbyt nową, nienależącą do chwili bieżącej, ale należącą do tak zwanych tematów stałych, do których wracać można bez ustanku, bo je samo życie codziennie podsuwa nieustannie. Jest to kwestya kobieca a przez autorkę opatrzona tytułem: „Wielkie damy”. Autorką jego jest utalentowana nowellistka, dobra obserwatorka tego życia codziennego, Ostoja: więc tém bardziej warto posłuchać jej głosu w sprawie bezpośrednio jej płci dotyczącej.

Zwraca ona uwagę na błakające się wśród kobiet średniej klasy społecznej, wśród sfer mieszczkańskich, szczytki przesądów, które wytwarzają i podniecają pewne nierozsądne ambicje, wywierające wpływ niekorzystny, nietylko na moralne ale i na materialne interesa bezpośrednio dotkniętych niemi jednostek, jak i pośrednio całej warstwy społecznej.

Mówi Ostoja o owych „wielkich damach”, w każdym niemal praktycznym zawodzie, o tych paniach, które uważają się za ofiary swego zawodu i powołania, traktując jakby z poświęce-

nia, albo „z łaski” swój stan, któremu chleb powszedni zawdzięczają.

Właścicielka magazynu, kupcowa, pani rządczyni, szwaczka, nauczycielka, każda w swoim rodzaju, jeżeli z konieczności musiała wziąć się do pracy, uważa się „zdegradowaną” na tem stanowisku pożytecznej działalności i obowiązków, przyjętych w walce o chleb powszedni.

„Córka miejscowego urzędnika, — powiada autorka — który przez całe życie pracował, żona urzędnika, żyjąca z dnia na dzień z pracy męża, a która, owdowiawszy, musi szukać zarobku z igłą w rękę, albo za kontuarem, czuje się zdegradowaną, z jakiego właściwie stanowiska, tego już chyba sam Salomon nie skombinuje! Córka lub żona podupadłego obywatela, który jak pies od much przez całe życie od dłużników się opędział, otwierając sklep lub pracownię, czuje się tak dalece zdegradowaną, że swego nazwiska na szyldzie zamieścić nie ma odwagi! Tegożsamego uczucia doznaje wdowa po aptekarzu, artyście, adwokacie, doktorze, po ekonomie nawet!..”

Byłoby to wszystko tylko śmiesznością, gdyby nie mieszało się w życie, jako czynnik, psujący harmonią prawidłowego rozwoju, kierujący na fałszywe drogi pojęcia i dążenia owych „zdegradowanych” ofiar losu; wytwarzający wreszcie spalone i utyskujące malkontentki, które zakwaszają życie sobie i drugim.

Długie lata doświadczeń, wpływy nowych prądów i idei, nowe i coraz cięższe warunki bytu musiały ogół wyleczyć z wiekowych uprzedzeń i związanych z nimi wad; czy wyleczyły zupełnie, — można o tem, niestety, jeszcze powątpiewać. Przynajmniej pośród kobiet — utrzymuje w zakończeniu swego artykułu Ostoja — długo jeszcze będzie snuło się owo widmo „dobrego urodzenia”, ciągnąc za sobą cały szereg śmiesznych pretensyi, złudnych nadziei i bolesnych zawodów. Podczas gdy mężczyzna, nawet niezbyt mądry z natury, ocierając się o mędrzych kolle-

gów, wysmiany nieraz, dotknięty boleściami, pozbywa się wielu przesądów, a czasem nawet ze śmiesznego pół-panka przeradza się w rozsądnego człowieka, kobieta, karmiona w domu wspomnieniami i skargą na zmienność losu, chowana na tak zwanych „wyższych pensjach”, przedewszystkiem na pannę „dobrze wychowaną”, długo jeszcze będzie stróżem przesądów, wytrwała zwolenniczką próżniactwa, dla którego zawsze potrafi znaleźć mniej lub więcej przyzwoite pozory.

Czyż to jednak rozsądnie?..

Odpowiedź sama się nastrocza, a gdyby chodziło o przytaczanie przykładów, każdy z nas mógłby ze swego doświadczenia wyliczyć sporo tych wielkich dam, które nie mogą pozbyć się pretensyi do losu, że im każe pracować, że je zdegradował z urojonej wielkości rodu, stanowiska, majątku albo powołania.

Znam takie, które sobie za ubliżenie uważają pójść do teatru na miejsca w dalszych rzędach krzesel, dlatego, że kiedyś z matkami swemi siadywały w łóżach, i że mogłyby spotkać kogoś, który je tam przed laty widywał.

Fałszywy wstyd, fałszywa ambicja, fałszywe pretensye!

Nie jest to specjalnie wadą samych kobiet, ale spotyka się ją u nich częściej niż u mężczyzn.

Jeśli sprawa poruszana przez Ostoję nie jest kwestyą bieżącą, to jest nią obecnie, oprócz wychodźstwa do Brazylii, kwestya suchotnicza.

Po wynalazku D-ra Kocha w Berlinie wyłoniła się wkrótce sprawa pierwszeństwa naukowej inwencji i zasługi w pytaniu: „Koch czy Nencki?..” Chciano na korzyść polskiego lekarza, który oddawna również zajmował się badaniem suchot i szukaniem na nie skutecznego środka, rozstrzygnąć to pytanie. D-r Nencki wszelako bardzo taktownie postąpił, prosząc, aby go do polemiki i dyskusyi publicznej nie wciągano

wobec niepokojących studyów i doświadczeń w tym przedmiocie.

Obecnie od dwóch tygodni mamy inną kwestyę: „Koch czy Bujwid?“. Znany bakteriolog warszawski, nie czekając wyjaśnień berlińskiego profesora co do składu limfy przeciw suchotniczej i sposobu jej przyrządzania, zajął się na własną rękę badaniami i próbami wytworzenia podobnego płynu i wynalazł... tuberkulinę, posiadającą na niższym stopniu własności tesame, co płyn Kocha.

Doświadczenia prowadzi D-r Bujwid teraz ze swą tuberkuliną; ale jakie będą wyniki kuracyi trudno przewidzieć. Przecież zbyt głośno rozstrawiona skuteczność Kochowskiego środka zawiodła dotychczas: dlatego przezornie słusznie zrobiono, że użycia go i rozpowszechnianie przez niepowołanych aptekarzy i lekarzy zabroniono urzędownie.

Bezpieczeństwo pacjentów tego wymagało.

Tymczasem konkurencją wszystkim preparatom doktorskim, tajemniczym i niezbadanym dostatecznie płynom bakteriologów, zrobiła... koza.

Jakiś włoski lekarz wpadł na pomysł wstrzykiwania suchotnikom krwi koziej, która ma w organizmie chorym sprowadzać bardzo korzystne zmiany i wywoływać polepszenie ogólnego stanu pacjentów.

Do tego środka doszedł wynalazca prostą logiką, wiedząc, iż koza, podobnie jak pies, przez naturę samą uchroniona została od suchot. Tuberkuly nie działają na nią, zaszczerpione nie przyjmują się; ergo powiedział sobie sprytny Włoch, we krwi jej musi być widocznie jakaś organiczna odporność przeciw gruźlicy, którą możnaby wyzyskać na drodze transfuzji.

Spróbował tedy wlewać w żyły suchotników krew kozią i nadspodziewanie pomyślnie osiągnął wyniki, o ile rozumie się... wierzyć można dziennikarskim doniesieniom.

Głośny bęben za górami.

Dzisiaj po tak szybkim rozczerowaniu z kochi na, która miała być cudownym środkiem, a okazała się dopiero pierwszą literą w nowej metodzie terapeutycznej, musimy *cum grano salis* przyjmować owe słodkie zapowiedzi ratowania biednych suchotników, których śmierć kosi całymi gromadami.

W każdym razie nauka natrafiła na drogę, wiodącą do tego celu i być może, iż dalsze badania, doświadczenia i próby uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem tymczasem zaś mamy przynajmniej to zadowolenie, że w rozwiązaniu wielkiego zadania medycyny współczesnej przyjmują udział nasi lekarze, i że część zasługi w tych poszukiwaniach będzie po ich stronie.

Przed kilku dniami dostałem do rąk pierwszy zeszyt wydawnictwa, które zwraca uwagę tytułem i nazwiskiem dobrze i zaszczytnie znanego autora; po skończeniu druku przybędzie nam nader pożądana i potrzebna książka, z której wielu rzeczy niezbędnych w codziennym życiu nauczyć się można.

Mówię o „Hygienie praktycznej“, opracowanej oryginalnie na podstawie własnych doświadczeń i badań obcych uczonych przez D-ra Ludwika Natansona. Już pierwszy zeszyt usprawiedliwia w zupełności „praktyczność“, zaznaczoną w tytule tego wydawnictwa, znajdujemy w nim bowiem szczegółowy i zajmujący traktat o pożywieniu, przyrządzaniu pokarmów, urządzeniu kuchni, z wielu wskazówkami, które się gospośm naszym, dbałym o zdrowie własne i swej rodziny bardzo a bardzo przydać mogą.

„Słownik Medycyny i Hygienia“ D-ra Bonamięgo, wydawany w polskim przekładzie przez D-ra J. Starkmana dobiega do końca; pracuje nieustannie nad udoskonaleniem swoim „Zdrowie“: nie możemy się tedy uskarżać, aby nam pod względem higienicznym nie dostawało podręczników i wskazówek: chodzi tylko o to, abyśmy z nich korzystać chcieli i umieli, nie lekceważąc najdroższego skarbu, jaki człowiek posiada w dobrem zdrowiu i siłach żywotnych.

Nazwisko D-ra Ludwika Natansona związane jest nie tylko z literaturą medyczną, ale z wieloma sprawami obywatelskimi, które z jego ini-

cyatywy powstawały; między temi wymienić się godzi przedewszystkiem szkoły rzemieślnicze. On to był ich rzecznikiem najgorliwszym i propagatorem, swojego czasu.

Od lat dwunastu też istnieje w Warszawie taka szkoła, pod wzorowym kierunkiem p. Jerzego Kühna, jedyna u nas w swoim rodzaju, która kształci teoretycznie i praktycznie uzdolnionych rzemieślników w sześciu zawodach, a mianowicie: w ślusarskim, stolarskim, siodlarskim, krawieckim, szewskim i giserskim.

Powstała ona z ofiar prywatnych a coroczne swe niedobory pokrywa z kieszeni swoich protektorów, rozumiejących zadanie i pożytek niezaprzeczonej takiej szkoły; rozwija się też z każdym rokiem i zdobywa coraz szersze uznanie zarówno za kierunek naukowy, jakoteż za praktyczne rezultaty w wyrobach swych wychowanców. W roku zeszłym kształciło się w niej 192 uczniów a 23 otrzymało świadectwa uzdolnienia.

Obecnie szkoła rzemieślnicza ma swój własny, odpowiednio urządzonego budynku z salami wykładowymi i warsztatami przy ulicy Składowej pod N-r 3-cim. Radzę zwiedzić przy sposobności ten zakład i przekonać się naocznie, jak tam uczą pracować i jak zawodowo kształcą przyszłych luminarzy rękodzielnictwa naszego.

Niedobór ostatni wynosił jeszcze około 3.000 rs., ale powoli powinien się zmniejszać, odkiedy szkoła posiada własne pomieszczenie i coraz więcej zyskuje zaufania do swoich wyrobów, których różnaitość jest z każdym rokiem większa, bo od butów, fartuchów, szyneli, tornistrów, walizek, uprząży, stolarszczyzny i ślusarszczyzny wszelkiego rodzaju do dzwonekóelektrycznych, manekinów drutowych, narzędzi rozmaitych, wyrobów cyzelerskich, i t. d.

Dzięki energii i wytrwałości pewnego grona ludzi, interessujących się szczerze sprawami naszych rzemieślników i przemysłu, postępuje jakoś ich rozwój, rozszerzają się granice ich działalności i przybywa środków zachęty i poparcia.

Wspominałem o szczęśliwym urzeczywistnieniu projektu założenia w Warszawie Muzeum rzemieślnicze; obecnie zanotować mi przychodzi pomyślny wynik stałej wystawy prób i wzorów fabrycznych, urządzonej z inicjatywy Towarzystwa przemysłu i handlu. Wystawa ta istnieje zaledwie ośm miesięcy, bo dopiero od Maja roku zeszłego, a jednak, zdążyła przyciągnąć 221 uczestników, przyniosła około 5.000 rs. dochodu i zapowiada coraz korzystniejszy swój rozwój.

O co tu chodzi?—chodzi o rzecz bardzo ważną, bo o spopularyzowanie wszystkich gałęzi przemysłu i wytwórczości jego, o zarekomendowanie firm i wyrobów, o ułatwienie zbytu i zawiązanie stosunków handlowych z najdalszemi nawet rynkami. Dzieje się to zaś przez zwiedzenie wystawy na miejscu, oraz przez ogłoszenia, cyrkularze, katalogi, utrzymywanie korespondencji, zbieranie informacji o ważniejszych wydarzeniach w handlu i przemyśle.

Przyjeżdża kupiec lub fabrykant z prowincyi, z Cesarstwa, z zagranicy i powiada:

— Pokażcie mi, co wy tu wyrabiacie, jak, po jakich cenach?... może zrobimy z sobą interes.

Zamiast go prowadzić do fabryk, warsztatów, lub magazynów, prowadzi się go na wystawę i pokazuje wszelakie okazy, próby, wzory naszych miejscowych lub zamiejscowych wyrobów, udzielając od razu wszelkich żądanych objaśnień. Tutaj znajduje sposobność robienia porównań, wyszukiwania sobie odpowiednich produktów, zawiązania stosunków z firmami i — interes zrobiony.

Takich ciekawych zgłosiło się jednak przez czas trwania wystawy 2,710, a z tej liczby na Cesarstwo przypada 18%, na prowincyę 26, na zagranicę 7, a 49 na Warszawę.

Rozumie się, im obfitsza będzie wystawa, im więcej zgromadzi się okazów, tem ciekawszą się stanie dla interessowanych i tem większy ruch obudzić może. W każdym razie początek wydaje się obiecującym na przyszłość.

Dziwne bywają u nas losy projektów: jedne niespodzianie rosną, jak na drożdżach; innych żadnemi wysiłkami nie można wepchnąć na drogę urzeczywistnienia.

Przypominacie sobie, jak dawno i ile razy wspominałem już na tem miejscu o Bazarze rzemieślniczym, który się urodził w głowie p. Juszczyka i żadną miarą nie może stanąć na własnych nogach. Obok Muzeum rzemieślnicze, w którym nasz rękodzielnik znajdzie wzory do doskonalenia swego smaku, ulepszenia swoich wyrobów i korzystania z cudzych pomysłów; obok stałej wystawy prób i wzorów, która będzie nieustanną reklamą i pośredniczką między wytwórcami a odbiorcami, doskonale przydałby się trzeci w tej grupie: bazar rzemieślniczy, ułatwiający na miejscu zbyty dla drobnego przemysłu krajowego, broniący ten przemysł przed uciskiem wyzyskiwaczy i niesumienną konkurencją.

Cóż z tego! Powiedziano wszystko, co było do powiedzenia, spisano mnóstwo artykułów, odezw, broszur, radzono, pukano, namawiano — i ostatecznie zebrano tylko owych nieszczęsnych 5,000 rs., które żadną miarą nie chcą się zaokrąglić do 10,000, potrzebnych do założenia bazaru.

Zyski są przecie pewne, pożytek niewątpliwy, potrzeba konieczną: a mimo to projekt ma *pech* i utyka na każdym kroku.

Aby nie ustawać w połowie, dotychczasowi uczestnicy postanowili jeszcze agitować, jeszcze werbować członków i zbierać udziały.

*Audaces fortuna juvat*, może im się jednak uda przemówić do głuchych i otworzyć oczy ślepych.

A możeby tak na sposób niemiecki zaprosić panów majstrów na wiec do jakiej dużej bawaryi, rozstawić antalki z piwem, flaszki z „wódecznością“ i przy szklance i kieliszku zacząć rozprawać o tej kwestyi?... Na-sucho jakoś nie udało się pozyskać ich dla sprawy Bazaru, bo „radzić darmo boli gardło“: możeby na-mokro raźniej wsiąklą w głowy pożyteczna myśl projektodawców?..

Gdy mowa o odwilżaniu, ekliwo mi się robi na samo wspomnienie tego błota, które się rozszkaradzi wraz z podniesieniem się termometru; na ulicach istnie barykady śniegowe piętrzą się wzdłuż chodników, a do usuwania ich pieniędzy już magistratowi zbrakło i wozów nie starczy kompanii asse-nizacyjnej. Zdaje się, że słońce samo zajmie się usunięciem śniegu z ulic Warszawy i zamieni je wkrótce w laguny, po których płynąć będziemy w gondolach do Saskiego Ogrodu na występy p. Modrzejewskiej, jeżeli Luty, wierny swojej tradycyi, nie zechce być mroźnym.

W drugim tygodniu przyszłego miesiąca znakomita artystka rozpoczyna jako Marya Stuart gościnnie na scenie warszawskiej, którą porzuciła dla okłasków i dolarów za Oceanem; ujrzymy ją w znanych kreacjach dziewięć razy, w „Dallii“, „Damie ka meliowej“, „Odecie“, „Walce kobiet“; nowością zaś będzie tylko rola Lady Macbeth, w której, nie wiem czemu, raz tylko jedyny zamierza się ukazać wielbicielom Shakespeare'a i swego talentu.

Miałem sposobność oglądać fotografie amerykańskie p. Modrzejewskiej w tej właśnie roli, — fotografie wspaniałe, które stanowią istne obrazy, godne pędzla najznakomitszego malarza; dają one przedsmak gry naszej tragiczki i budzą największą ciekawość ujrzenia jej, jako małżonki Macbetha.

Dyrekcya, nie mogąc nastarczyć wszystkim żądaniom o bilety abonamentowe, musiała chwycić się sposobu radykalnego; zostawiła bywalcom teatralnym pierwszeństwo do nabywania miejsc, ale ograniczyła to prawo tylko do jednej seryi, złożonej z trzech przedstawień; ceny zostały zdwojone. Zdaje się wszelako, że gościna p. Modrzejewskiej na scenie naszej przedłuży się i że zobaczymy ją więcej, niż dziewięć razy.

W szeregach Melpomeny mnożą się jubilaci. Oto trzydziestolecia już dosługuje Wincenty Rapaeki w swoim zawodzie, artysta dramatyczny i autor, najcelniejszy dziś przedstawiciel ról charakterystycznych. P. p. Tatarkiewicz Jan i Szymanowski Władysław srebrne gody mają prawo obchodzić ze sceną, na którą w roku 1865-ym dzień po dniu wstąpili prawie jednocześnie.

Wszyscy ci trzej jubilaci nie wyglądają wcale na weteranów sztuki. Patrząc na nich, trudno przypuścić, że więcej niż ćwierć wieku a połowę

życia poświęcili Melpomenie, pomimo długiej, szczerzej i gorliwej pracy w swoim zawodzie.

Znajdę jeszcze sposobność pomówienia obszernej o każdym z tej trójcy niezaprzeczonej talentów, zasłużonych dobrze w teatrze warszawskim, gdyż, oile mi wiadomo, sceniczni jubilaci starają się o prawo włożenia sobie srebrnych szewronów na porankach benefisowych, wobec publiczności, której są ulubieńcami.

W świecie muzykalnym przybył nam także jubilat w osobie Zygmunta Noskowskiego, dyrektora Towarzystwa Muzycznego, zaszczytnie znanego kompozytora, jednego z niewielu współczesnych, którym i zagranica nie poskąpiła swego uznania. Przed dwudziestu pięciu laty „Tygodnik ilustrowany“ zamieścił jego „Kolendę“, pierwszy utwór młodego muzyka; od owego czasu talent Noskowskiego zmeźniał, zdobył się na dzieła niepospolitej wartości, rozwinął się pracą i studjami, nabrał wiedzy i w męzkim dzisiaj rozkwicie obiecuje jeszcze wiele dokonać.

Członkowie Towarzystwa Muzycznego, przyjaciele, znajomi, melomani, uczniowie, koledzy zgromadzili się na wspólną biesiadę dla uczczenia uroczystej rocznicy jubilata; ofiarowali mu ze składek piękny fortepian i adres od chórów zostających pod jego kierownictwem. Towarzystwa muzyczne we Lwowie, Krakowie i Pradze zamianowały go swoim członkiem honorowym.

Quis.

## CARMEN SYLVA.

(Dalszy ciąg).

W pamiętnikach książęcej córki zaczyna się przejawiać czasem pewne niezadowolenie—pewne uczucie, jakoby żalu do życia. Nie jest to przecież samem odbiciem boleści, spowodowanej przez śmierć brata, ani następstwem obaw o zdrowie ojca, które się psuć zaczynało: jest to coś czysto egotycznego; coś mającego źródło we własnej jej głębi, i czytelnik dochodzi wkrótce do przekonania, że bolały ją tak zabiegi matki o wydanie córki za mąż. Runął jej gmach rojeń idealnych, cierpi w niej uczucie dotkniętej godności osobistej—cierpi może silniej serce, które pragnie zachować prawa swoje do wolności, i staje się ona ciężko smutną na myśl, aby miała być wydziedziczoną przez małżeństwo konwenansowe z tego raju ziemskiego, którym jest otrzymana i podzielona miłość. Tymczasem matka jedzie z nią w odwiedziny do księżny badeńskiej, ciotka obwodzi ją po wodach, po dworach królewskich, cesarskich, a ona pisze w pamiętniku z żalem, smutkiem wielkim: — „Lepiej jest zostać na całe życie samotną, niżeli, ach! zaprzedać się.. Jestto nietylko boleść—jest to niebezpieczeństwo“.

I nie myli się: jest to niebezpieczeństwo, bo kto wie jak i kiedy miłość odezwie się nam w piersi?—a ona, która to umie przeczuć, która to rozumie, pisze w pamiętniku przestrzegająco:

Tylko wtedy, gdy serce uderzy  
Niech dziewczyna w szczęście swe uwierzy;  
Przed ołtarzem klęka i przysięga,  
Że nie zmieni jej żadna potęga,  
Że do śmierci kochać będzie wiernie,  
Przejdzie życiem śmiało—choć przez ciernie,  
Wytrwa w próbach, choć o kęsie chleba,  
Ale na to kochać... kochać trzeba!  
Duszę swoją przelać w duszę drugą,  
A nikt panem nie będzie, nikt sługą,  
I już niema doli, lub niedoli...  
Nic nie męczy i nic już nie boli,  
A ofiara... ofiara to szczęście,  
Kiedy serca z sercem jest zameżcie...

Wozona po świecie kształci się przytem, wyżej w muzyce, bierze lekcye od najpierwszych mistrzów, bierze je w którejs stolicy od Klary Schumann, już wtedy sędziwej staruszki ze srebrnymi włosami, i wpatrzona w jej piękne jeszcze, smutne oczy, pyta się w pamiętniku swoim: zkąd ta kobieta, która tak wiele przecierpiała, czerpie odwagę do życia i cichej, spokojnej starości? — „Musiałoby być bardzo wdzięczna pora—starość, bo wtedy zstępuje na nas ten doskonały spokój, którego mi często brakuje. Tęsknię też codziennie takim wewnętrznym ucieszeniem, które musi działać na nas łagodnie, dobroczynnie. Ale snadź zarobić sobie na nie potrzeba przez wiele burz i walk przebytych“.

Na nią biedną spadł nagle grom boleści bardzo ciężkiej. Gdy ona żyje gdzieś daleko życiem podwójnem: poetki i księżniczki na wydaniu, gorąco ukochany ojciec umiera. Cierpiący już oddawna, leczyl się, ale nie uważano tego jako choroby groźnej; aż tu śmierć przyszła nagle, niespodziewanie. Dyktował sekretarzowi traktat filozoficzny o indywidualności człowieka, gdy naraz Bóg zawołał go do siebie tam, gdzie wszystkie tajemnice ludzkiego ducha stały mu się jawne. Dla córki był to cios straszny, zwłaszcza, że nie mogła znaleźć się zaraz u jego grobu i ogarnęła znowu ją biedną tęsknota wielka za tym stanem, który dałby jej nakoniec spokój i wolność, bo w liście, pisanym wkrótce potem do matki, wraca znowu do marzeń o starości, do starości pożądań, starości spokoju.

— „Myślałam tu w tych czasach, że starość daje ludziom spokój najdoskonalszy. Można wteley skupić się cicho w sobie; można zastanawiać się nad życiem bezwzględnie i beznamiętnie, bo już bez zwrotu na siebie; można uśmiechać się do umarłych, do których już nam jest bliżej; a żyjącym opowiadać o przeszłości, która wydaje nam się zawsze lepszą od terażniejszości. Sądzę, że musi być rzeczą słodką stan taki. Dziś mogłabym przecież zawahała się jeszcze oddać za cenę takiego uspokojenia młodość moją, bo człowiek pragnie mimowoli zakosztować wielu rzeczy, które życie daje o wiosnie swojej; ale obok tego mogę już teraz pocieszać się myślą o spokoju, który starość da mi w końcu—cieszyć się nią, bo jest to port życia,—przystań, do której na koniec zawiniemy“.

Takie rozdwojenie ducha, nienaturalne w jej wieku, było niewątpliwie skutkiem zabiegów ciotki i matki wydania jej gwałtem za mąż, szukania tego męża po świecie, a tragedia to jest—tragedya bolesna, odgrywająca się w życiu nie jej jednej. Organizacya, tak bogato obdarowana w myśl i uczucie, byłaby niewątpliwie wydobyla z siebie gorętszy zapal do życia; szerokie jego horyzonty byłyby inaczej roztoczyły się przed jej wzrokiem,—gdyby nie owe zabiegi macierzyńskie uszczęśliwienia jej na własny a nie jej sposób. Narreszczie, już ku końcowi wiosny, ciotka odwiozła ją do domu, a księżna matka od śmierci męża mieszkała stale w owej wdzięcznej siedzibie wśród lesistych ustroni—w rezydencji letniej, i ona, przybywszy tu, zawołała, wyciągając ręce miłośniczo:—„Enfin j'ai mon repos“.

Niezbyt długo używała go przecież, tego spokoju. Ciotka przybyła znowu, zabrała ją do wód, do Karlsbadu, następnie odbyto podróż do Włoch, do Paryża na wystawę. Bywano też u dworu: cesarzowa Eugenia była na nią bardzo łaskawa, Napoleon okazuje jej równie względy przyjazne, na nią przecież, wśród tego wesołego niby używania świata, przychodzi znowu pragnienie cichej, spokojnej przystani życia, bo pod jej pióro wraca takie wyrażenie życzeń swoich: „Myślałam tu temi dniami, że na starość można obejść się bardzo łatwo bez żadnego zajęcia. Można cicho, wygodnie w krzesle siedzieć i myśleć, myśleć o życiu spokojnie bez żadnych wzruszeń namiętnych serca. Do umarłych można oczy ku niebu podnosić żywym opowiadać o przeszłości. Wyobrażam sobie, że to stan bardzo miły. Jeszcze czas jakiś pragnę życia kosztować, dokonać czegoś dobrego na ziemi, ale już teraz mogę się cieszyć i pocieszać myślą o wdzięcznej spokojnej, cichej starości (friedliches Alter)“.

Mimo to, że umiała mądrze, z dumą szlachetną podnosić się ponad zabiegi matki i ciotki, jednak czuć w tem ciągłym zwracaniu się myślą do śmierci znużenie, stan ducha, którego równowaga została zakłóconą. Na szczęście, kobieta ta jest rozumną; wie, że obowiązki człowieka ograniczają się wzajemnie, że, nie uchybiając powinnościom córki, ma prawo żyć, żyć na własny rachunek, bo na to Bóg wywołuje duchy ludzkie do istnienia na ziemi, aby odpowiedziały jakiemuś zadaniu—jakiemuś celowi Jego dla nich. Z końcem 1868 r. oświadcza też matce, że dość już się bawiła, dość naużywała świata, i teraz musi już wziąć się do pracy.—„Trzeba mi obrać sobie jakieś zajęcie stałe—powołanie“—pisze w pamiętniku i postanawia zostać nauczycielką, ale nie nauczycielką dyletantką, bo to zostawia zawiele próżnego miejsca, przez które lenistwo może się wślizgnąć pod pozorem braku dostatecznych sił, lub za wielkich trudności, a przyznać trzeba, że jest w tem rozum i szlachetność—jest siła woli, godna uszanowania i naśladowania przez wszystkie kobiety w położeniu podobnem.

Oddała ona matce to wszystko, co w stosunku praw macierzyńskich do niej należało jej oddać posłuszenie, ale wiedziała niemięniej, że i jej własna istota ma też prawa swoje, które drugostronnie tworzą również obowiązki, i bardzo pięknem jest to, co d 2 Stycznia 1869 r. kreśli w pamiętniku. Ubiegła jej młodość nie była ubogą... Dała jej niemało słonecznych promieni życia, bo dała jej bogate dary miłości uczuwanej i odbieranej—dała jej doświadczenie życia, która jest życia świadomością. Poezyi, nietylko się nie odrzeka u końca tej młodości, ale, przeciwnie, przysięga jej wierność i może z myślą o swojej babce niewidomej, pisze, że będzie tworzyć w głębi ducha, wtedy nawet, gdyby życie otoczyło ją ciemnościami...

Pragnie tylko, aby Bóg dał jej siłę uchowania tej poezyi, aż dopóki nie powoła jej do siebie, i cały ten ustęp pamiętnika jest jakgdyby jednym wykrzykiem:—Jak bez poezyi trudno żyć!.. Modli się o to w sposób wzruszający, ale dodaje zaraz, że poezya nie może mieścić się w sercu zimnem, a człowiek może zachować ciepło uczucia tylko przez życia ruch żywy, którym jest praca.

Pragnie zatem pracować, a zawód nauczycielki przypada najlepiej do jej usposobienia, a nie myli się też, że jest najszlachetniejszym. — Światło tworzyć... duchy w stronę światła zwracać, wydierać je z ciemności.. Matka przystała na żądanie córki, bo widać była też rozumną, czuła, że każdy człowiek ma prawo żyć według natchnień swojej własnej istoty wewnętrznej. Szkoła, o której myślała księżniczka—szkoła ludowa—mogła być przecież prowadzoną tylko przez osobę, która przedstawi odpowiednio kwalifikacye—zda egzamin. Matka przypominała jej o tem; ale ona sama wiedziała, pamiętała doskonale i nie chciała dla siebie praw wyjątkowych.

— Nie śmiałabym ich żądać—pisze i dodaje, że ją to może uspokoić zarazem co do tej rzeczy ważnej: czy rozumie metodę nauczania dzieci, których sfera myślenia może być inną, niżeli była jej w tym wieku? I przygotowuje się do tego egzaminu gorliwie, pracowicie, a matka, zrazu bardzo niechętna temu zamiarowi córki, godzi się z nim poniekąd i mówi do swojej przyjaciółki i towarzyszki, że nigdy nie widziała w córce takiej harmonii spokojnej uczuć i myśli.—„Mam jakieś przecucie, że teraz za mąż pójdzie—dodaje.—Może się łatwiej podobać poważnemu mężczyźnie i ona sama nie będzie już tak kapryśnie wybredną... Dotąd myśl jej bujała tylko w przestworach ideału; teraz, zetknąwszy się z żywym życiem, wcieli się silniej w jego strony praktyczne, w jego zadania obowiązkowe“.

I miłość matki wyprorokowała. W kilka miesięcy po jej powrocie do domu zaszła w życie księżniczki zmiana rozstrzygająca o przyszłości. Ona się przygotowała do egzaminu szkolnego, a tu życie kazało jej zdać egzamin z uczuć serca. Karol Hohenzoller, z katolickiej gałęzi tego domu, został w tym czasie Królem Rumunii i powinien się być ożenić, a rodzice jego pomyśleli o niej, bo miała sławę rozumnej, wyższej kobiety, według zaś wersyi innej swatem był Napoleon III, który

# HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg)

A było to z dziadem tego Czyruka; był on taki sam jak ten — „znający“!

Jak „stał“ umierać, tak cała chata ze strachu uciekła: tyle on wył i ryczał, na obrazy pluł, Boga przeklinał.

w czasie jej przebywania w Paryżu poznał się na niepospolitych przymiotach jej umysłu. Król Karol chciał przecież decydować tu sam; rodziny się znały: więc gdy matka z córką przybyły na wiosnę do Bonn, znaleźli się tam i rodzice króla, zaprosili je do rezydencji swojej w Düsseldorfie; ale to było dopiero poznanie się bliższe rodziców z domniemaną synową. Król Karol był jeszcze młodym, miał lat trzydzieści kilka, i pragnął, aby mógł pokochać, a widział księżniczkę raz tylko w Berlinie, i to przed kilku laty, na przyjęciu dworskiem, gdzie etykieta krępowała i przeistaaczała ludzi. Matki ułożyły między sobą takie spotkanie dwojga młodych, aby nie obowiązywało to do niczego, i wybrano na Kolonia, gdzie spotkanie mogło mieć pozór przypadku. Księżna z córką jadły obiad w salonie letniej restauracji z gankiem na ogród, księżniczka Elżbieta nie domyślała się bynajmniej, że są oczy śledzące ją uważnie z głębi salonu, aż w końcu dwóch panów — dwóch wojskowych, — zbliżyło się do księżny matki i starszy pan przedstawił młodszego, który przypominał się z kolei córce. Nie byłaby go poznała, bo widziała go w tłumie ludzi licznym; lecz teraz podobał jej się — podobał się zwłaszcza, gdy po skończonym obiedzie udali się wszyscy do ogrodu. On szedł przy niej, a rozmowa stała się wkrótce tak ożywioną, że przechadzka trwała parę godzin i król Karol zaproponował wspólne przepędzenie wieczoru na koncercie.

Matka przystała, córka się nie opierała, a król odwiózł panie do hotelu dla zmienienia toalet. — Ach! mam, co to za miły, za rozumny człowiek! — rzekła księżniczka matce przelotnie, a gdy poszła ubierać się, księżę oświadczył się matce natychmiast. Rozmowa między niemi trwała dłużej, niż wypadało ze względu na proponowany koncert: weszła tedy księżniczka, aby to przypomnieć, ale księcia już nie było.

— Oświadczył mi się o ciebie — rzekła matka, a córce zdawało się „że ją oblał jakiś strumień gorącego waru“. — Czy chcesz go widzieć, aby mu sama odpowiedzieć? — zapytała matka, a ona skinęła głową, bo nie mogła przemówić. — Zdaje mi się, że go mogę pokochać... odpowiedziała wreszcie drżącym głosem, on też zjawił się zaraz. Jeszcze tego wieczora musiał wyjechać — musiał udać się do Paryża i zaraz zamieniono pierścionki, a ona napisała dnia tego w pamiętniku tylko te słowa: „Jestem zaręczona, jestem szczęśliwa“...

Księżę wrócił z Paryża wkrótce, bawił niecały tydzień, i przybył natychmiast do domu narzeczonej do zamczku nad Renem. Nie spodziewano go się tak rychło, nie było też nikogo z jej krewnych: on przecież wystąpił teraz urzędownie, mając przy boku swoim pięciu rumuńskich bojarów. Nie było czasu posyłać z zaproszeniem do stryjów, do stryjecznych braci księżniczki. Ceremonia zaręczyn odbyła się urzędownie i, gdy przy wieczerzy wnoszono odpowiednie toasty, księżę przemówił bardzo gorąco. — Jest to najszczęśliwszy dzień mego życia, bo kocham miłością, o której sercem wiem, iż będzie niezmienna...

Szła potem przemowa dłuższa, urzędowa o wysokich obowiązkach królewskich; ale dla niej, choć ta dusza kobieca nie jest pospolita, znaczyły najwięcej pierwsze słowa księcia, bo i ona już kochała. „Stało się to tak nagle — pisze w pamiętniku — miłość tak dziwnie prędko weszła mi w serce“.

Wśród prezentów ślubnych, które potem otrzymała od narzeczonego, znajdowało się pysznie oprawne album, gdzieby poetka spisywać mogła tworzone poezye, a ją to wzruszyło niezmiernie. „On to ceni — napisała — on czuje, że poezya kobiety jest w sercu i może tylko uczynić miłość tkliwszą...“

— „A miłość doda też uczucia poezyi — dopisała w drugim wierszu“.

(Dokończenie nastąpi).

Wziął się tedy mój „did“ na „ryzykę“, włożył chomont na głowę i poszedł do tej izby. To przez ten chomont co nie widziane widział, a sam zniknął. I widział, że „tych“ było z tysiąc, i tak go włóczyli po chacie, i bili, i dusili całą noc. Aż, jak kur zapiał, tak z niego przez gębę duszę wywlekli i zabrali ze sobą, a tylko jeden został, i w niego, w tego trupa się schronił. To jak rankiem znaleźli onego martwym, ubrali go, włożyli w trumnę, duchowny zaczął śpiewać, kropić święconą wodą, baby jęły zawodzić, a „tego“ dziad mój wciąż widział przez oczy nieboszczyka, jak się od śmiechu zanosił, że go tak honorują!

Włożyli na wóz i powieźli, a wedle Potapowych Krzyżów stanęli i odkryli trumnę do ostatniego pożegnania.

I bacz — w trumnie tylko płótno było i wióry — a ciała nie. Tak prędkiej wieki rzucili, żeby się posłuch nie rozszedł, i tak pustą w dół zakopali.

— Boże mój! — zaszemrała Łucysia wokół się oglądając. To i z Czyrukiem tak będzie.

— A tak.

— To on po ojcu znajomość wziął?

— Nie. Chłopa tylko baba może nauczyć, a babę chłop. Tak jego nauczyła jego ciotka, owego córka, a on pewnie „niewiastce“ (synowej) sekret zostawi.

— Uchroń, Boże, mnie!

— Nie. Nie zadawać ty uczynę będziesz, ani uroki zrzucac, ino na mojem polu lny białe zbierać, zdrowych chłopców mi rodzic, taj smaczny chleb rozczyniac. Będziesz ty przed Bogiem i ludźmi dostojna — moje ty złoto!

Dziewczynę strach odleciał. Wieczór był cichy i duszny, odpoczynek całodzienny ich rozmarzył oboje. Parobek objął ją w pól i do siebie pociągał. Opierała się słabo i w milczeniu. Morzyła ją jakaś senność leniwa, jakiś smutek dalekich dobrych nadziei!

Już ją u piersi swej miał i ogarniał coraz silniejszym uściskiem, gdy w tem niebioss sine przeciał zygzak gromu i olśnił ich przeraźliwie białą jasnością. Zerwali się na równe nogi.

— Burza idzie. Ja myślałem, że takie upały bez „okazy“ nie miną! Popłynie siano z trzech dni!

Wicher się zerwał i zahuczał; raz i drugi padł grom niedaleki i widać było przy błysku, że chmura czarna prędko obejmowała całe niebo.

— Będzie ulewa straszna — rzekł Kalenik. Skryli się do szałasu, bo spadły pierwsze krople i wicher z nóg walił.

— Popłynie siano, popłynie! I stóg co nie zwierzchniony do sponu przemoknie.

Posiedzimy tu miesiąc!

Teraz ulewa zamieniła się w potop.

Przez dach z trawy do szałasu lały się strumienie, na ich plecy, bielizną osłonięte. Odzieżę nakryli kosi i siekiere, a Łucysia resztki chleba i krup. Sami zaszyli się w kąt i cierpieli. Noc tak przeszła bez snu — w wodzie. Nad ranem Kalenik wyszedł na świat i ręce desperacko wbił w kudły. Łąki, jak okiem zajrzeć, stały pod wodą, pokosy zgmtawane, pływały, do brudnych szmat podobne.

— Ot i przyszło na lichy koniec mnie! — zamruczał. Nie będzie siana!

Łucysia dzwoniła zębami, stojąc za nim. Daleko więcej od klęski chłopa zajmował ją namysł: jak ogień rozłoży z mokrej łozy i przesiąkłych wilgocią szuwarów.

— Kalenik, daj zapałkę! — rzekła.

— Idź do dyabła! — burknął.

Przestraszona, usiadła w kuczki przy wczorajszym ognisku i bezmyślnie patrzyła na zalany popiół i węgle.

— Co ja jemu dam na obiad! — troskała się.

Parobek tu i tam jak błędny chodził.

— Żeby na nich choroba! — zaczął. Porzucili mnie tu samego, a oni szelmy w chacie panują! Bodaj ich wilki wzięły! Co ja tu za radę dam!

Wziął grabie i, brodząc po pas w wodzie, łowił pokosy, rękami je wynosił na wzgórek, roztrzasał do słońca, które nagle wyjrzało i dopiekało siarczyście.

Potem i Łucysię zawołał:

— Porzuc garnki, chleba zjemy! Trza kraść własne siano, bo z tej spiekoty, ani chybi, znowu deszcz wyjdzie!

Mekli więc znowu dzień cały, na żer pijawkom i komarom. Dziewczyzna zgarniała trawę; parobek je w wiązki składał i na plecach wynosił. Słońce piekło tak, że parowały ich koszule przemokłe, że pot im oczy zalewał. Na pomoc nikt nie przybywał, a tu jeszcze wieczorem schłostała ich powtórna ulewa. Trawa, na upale już wyschła, zamokła znowu; niekoszoną łąkę zalało.

Jedząc wieczorem resztę spleśniałego chleba, byli tak zmęczeni i zdesperowani, że nie do siebie nie mówili, a ręce i nogi drżały im od wysiłku niezmiernego.

Łucysia, cierpliwa, ocierała szmatą krwawe piętna pijawek; parobek chwilami zasypiał, żując chleb i chyląc się na wilgotną ziemię.

Aż wreszcie w nocy Sydor i Kiryk wrócili.

Makuszancka przysłała córce słoniny kęs, w prowiantach Hubeniów znalazła się flaszka z wódką, i nowin furę przywieźli. Odzyskali więc wszyscy rezon, i nazajutrz na cztery pary rąk robota poszła inaczej.

Ale deszcz się na nich uwziął. Plażył codziennie, wody przybywało w oczach.

Tydzień mordowali się bezskutecznie, rozpoczynając co ranka wczorajszą robotę, poraz dzieśiąty rozrzucając złożone już kopice, klnąc, to zacinając się w upartem milczeniu wściekłości na moc od ich sił większą.

Już dwa tygodnie było tej męki, a jeszcze polowa łąk stała nietknięta.

Spaleni od słońca, brudni, obrośnięci, w bielźnie od mułu czarnej, uwijali się często do samej północy.

Głosy im pochryply, nogi do ran powyżerała wilgoć; zawsze chudzi, teraz do tyczek byli podobni.

I tak ubiegł trzeci tydzień.

Przyprowadzono z Hrywdy woły i sanie. Kosili zupełnie w wodzie, a woły wywlekały na saniach trawę z moczaru. Żeby policzyć ich pot, toby te stogi, co rosły, gorzkie i słone być powinny. Czwartego tygodnia, zaniepokojony, przyszedł pieszo Sacharko, i przywlekała się Makuszancka, ulitowawszy się nad córką.

Po lamencie nad jej mizeractwem wzięła od Łucysi grabie, a jej kazała spocząć; ale dziewczyna się zbuntowała i nie chciała ustąpić.

Choć rąk i kości nie czuła, wstyd jej było to okazać, by jej Kalenik „hultajem“ nie nazwał.

Matka z załości przeszła wnet do gniewu. Dostała Łucysia grabiami po plecach, potem poczuła twardą pięść matki, ale pomimo to postawiła na swoim.

Grabily więc obie; stara, głośno wyrzekając, młoda płacząc; grabili i mężczyźni. Żeby na Piotra do domu wrócić! — myśleli i mówili wszyscy.

Aż wreszcie ściągnięto kopice na ostatni stóg. Wysłał mu fundament Kalenik z chrustu i kołków, i zaczęto składać. Rósł szybko, a napędzał skwar i chmury, co znowu biegały po niebie nie spokojne, jakby się nawołując, szukając, spiesząc, by robotę zmarnować.

Wsadzono Łucysię na górę i rzucano jej wiązki, tak prędko, że czasem tchu jej brakło, i ginęła w sianie.

Zwijali się na wyścigi, kto więcej, kto wyżej, rzucając wraz sianem żarty dziewczynie, której krasna spódnica migąła jak kwiat.

Stóg się zwał ku górze. Chmury opadały na słońce; począł wiatr targać siano z widel, i grom daleki bił już jakby werbel na burzę.

Ale chłopci już żartowali sobie z ulewy.

Sacharko po każdym grzmocie gwizdał.

— Bębni i graj—czartu muzykę! — śmiał się.

— Złaż, Łucysia!—krzyknął Kalenik.

— Widły ci dam! — dodał Kiryk ze śmiechem.

Dziewczyna zawahała się sekundę—i skoczyła. Kalenik ją w powietrzu utrzymał i nietkniętą postawił na ziemi.

— Na, pij! — rzekł podając dzbanek z wodą. Dałbym ci wódki: takes się dobrze sprawiała!

Czerwona była, jak upiór. Podziękowała mu za pochwałę, uśmiechem wesołym, i piła chciwie.

Mężczyźni skęcili długi sznur z siana i przerwali go przez stóg na krzyż. Był więc i od wichru bezpieczny.

Teraz otarli rękawem znojone czoła i odetchnęli.

— Dał Bóg skończyć! — rzekł Sydor.

Sacharko z Kirykiem zaintonowali pieśń żołnierską; kobiety obławowały się grabiami i dzbankami; Kalenik wziął woły na sznur i poszedł za nimi.

Wicher rzucił ku nim skrzydło chmur pędzących czwałem, ale deszcz, jak przez swawolę, cisnął tylko pojedyncze, wielkie krople.

— Na suche bory! Na suche bory! — mówi doń Sydor, już lekceważąco.

Po miesięcznym obozowisku mało co było do zbrania.

Wpakowano w wóz wielką cechę z sianem dla cieląt, pęki lyka, narzędzia, napół zgnile szmaty.

Usadowił się na nim Sydor z Makuszanką, Sacharko i Kiryk. Kalenik mijał woły prowadzić — dla Łucysi nie było miejsca.

— To nic — rzekła, pójdę pieszo.

— Zabłądzisz! — krzyczała matka.

— A jaż gdzie będę! Pójdziemy razem! — odparł parobek, krzesząc ogień do fajki.

Pojechali tedy, a ci niestrudzeni szli bez sarkania, ani protestu.

Na długim sznurze popędzał Kalenik przed sobą woły, w milczeniu śmiąc lukę. Łucysia nie odstępowała go, trwożna, bo tymczasem noc zapadła, czarna i ponura. Turkot wozu się oddalał, a wreszcie ucichł zupełnie. Po łąkach wołało ptactwo, migąły błędne ogniki, czasem wilki zawyły.

Droga była pustą, bo Hubenie wracali ostatni z sianokosu, i Perechreście już ciche będzie aż do zimy.

Jak czerwona skierka świeciła fajka Kalenika; nie odzywał się do dziewczyny, tylko od czasu do czasu wołom wymyślał.

Nareszcie skierka zgasła. Wsunął fajkę w zandrę, splunął i stanął.

— Zabłądziliśmy? — spytała Łucysia.

— Nie. Pić się chce! Potrzyjmy byki!

Oddał jej sznur, położył się na drodze i, jakby nie człowiek, z kałuży się napił. Potem poszli dalej.

Ale już mu się język rozwiązał.

— Dziwuję się ja tobie, dziwuję. Te cztery tygodnie! — zaczął cmokząc. Cienka ty, chuda, ni pleców, ni krzyżów. Ot dziewczynka, pastuszka, —taj hody! Dumaj ja sobie, jak ty tutaj jechała: Jagoda to, taj złoty lotać. Nie wytrzyma tygodnia; ale niech będzie, bo mi ta ochotniej będzie robić przy niej!

Zkądże u ciebie moc taka? Z różnemi ja kosił, a takiej robotnicy nie miał, i w Hrywdzie takiej niema. Patrzał ja ciągle na twoje ręce, małe, i nogi, i z dziwu nie wychodził! Lubił ja zawsze na ciebie patrzeć, a gryzł się, żeś chuderława i słaba. A no, dziś ja wiem, jaką robotnicę wezmę; to mi nawet nie żal, żeś biedna!

Nu, nu — za dziesięć tłustych ty zrobisz, a mniej zjesz! Będą mi ludzie ciebie zawidywać (zazdrościć)!

Łucysia aż pokraśniała z dumy.

— Z biedy i sieroctwa moc moja! — odparła.

Gospodarska córka hoduje się zdrowo, wezas ma, a ja od małości wciągnięta do roboty.

Inne jeszcze gęsi pasą, a ja już z sierpem cho-dziłam, nie dla zabawy, ale dla zarobku. Nie było kiedy rosnać i grubieć; ino moc rosła: taj grubiała!

U nas nie było czego paść—ni gęsi, ni owieczki. Jak jedenaście lat miałam, to mi matka sierp kupiła i na dworskie żyto zawiodła. Ekonom się śmiał, i żeńcy się śmieli, a mnie matka tylko trzy dni pomagała, a czwartego tom już sama dział swój wyżyła.

Od tej pory codzień idę i idę do dworu.

— Toś pewnie już trochę grosza zebrała?

— Nie wiem. Matce oddaję.

— Nu, dziwy, dziwy! — zamruczał. Dziś na stogu toś za parobka robiła.

Napatrzeć się ja nie mógł!

— Jak tobie robie, to mi nawet nie męka!

— I mnie przy tobie straszna ochota.

— A nu, Łysy — kudy, Kraško!

Prędko szli, bo nęciła ich chata i niedzielny odpoczynek.

— Już gorszej „suchoty“ (męki) cały rok nie będzie! — mówił Kalenik. Ni żniwo, ni rola tak mocy nie naderwie, jak ten sianokos pohany! Teraz już i zarobek we dworze dobry, i chleb świeży skoro będzie.

— Pójdiesz w zarobki?

— Pójdę! Trzeba szmat pieniędzy na wesele, a w domu Sacharko mnie zastąpi.

— A ja do was przyjdę za len odrobić!

— Poznasz zagony nasze, żebyś na przyszłe lato na swoje łatwo trafiła.

— A nu—Łysy—czego zostajes? Wypasłeś się jak lin — teraz się kwap do domu.

Ot, spać będę jutro—za wszystkie czasy!

Jakie tam twoje spanie?! Ani poduszki, ani pierzyny!

— Nieżonatego pierzyna — siano! — zaśmiał się.

Racicie wołów i boscie ich nogi zadudniały po dylach mostu. Zostawili za sobą Perechreście i poczęli w nocnych mrokach Hrywdy wyglądać.

— Tamci już w domu. Kiryk nie żałuje klaczy, nie będzie nigdy z niego gospodarz — mru-czał niechętnie parobek.

— I Hanna twoja na „wołokite“ wyszła.

— Szelma to nad szelny! Hodowała się bez matki — ja nie miał czasu doglądać, to się i zmarnowała. Wesele odprawiła i uciekla; potem zjawiła się, niby to do pomocy na lato. Przyjęli chętnie, aż tu w tydzień — niema Hanny!

Żeby ja rozum miał, tobym ja powinien był bić codzień — a tak uciekla na-sucho.

— Słyszę: do akcyznika na służbę poszła...

— Nu, niech-no ja spotkam ją w miasteczku!

Przed nimi poczęło niebo się otwierać dla rannej zorzy. Już rozróżnić było można drogę, drzewa, zagony, i po trawach bujną białą rosę.

Skęcali na prawo i lewo, aż w tem stanęła przed nimi wieś rodzinna w całej okazałości i woły, wyciągnawszy pyski, zaryczały przeciągle

— Ot i doma my! — rzekli jednym głosem Zaleciał ku nim dym, spotkali konie wracające z noclegu, i ani się spostrzegli, jak się rozstali przy chatce Łucysi. Nie rzekli ani słowa pożegnania, i parobek ani się za nią obejrzał, tak zajęty był widokiem swej chaty.

I zaraz zobaczył, że dzieci, objając zielone gruszki, okiereszowały stare drzewo, że świnię zrobiły sobie tunel pod płotem do ogrodu, że wiatr nadszarpał słomy ze strzechy, i że bocian na stodole miał już bocianięta — zresztą chata była taksamo okopcona, drzewo dzikie, podwórze błotniste, chlewy krzywe, a nad tem wszystkim wisiało, jak płachta, przygnębienie, niedbalstwo i bierna rezygnacja.

I lato, co stroiło błota i piaski, nie podołało upiększyć Hrywdy!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KAROL ESTREICHER.

(Dokończenie).

Pierwsze opracowanie bibliograficzne tym dawnym wiekom poświęcone wydał Estreicher jeszcze w r. 1875 p. t. *Bibliografia XV i XVI stulecia* etc. (Kraków 8-o Maj.). Przedmowa sama już dostatecznie objaśnia, że praca ta nie wyszła z głębokiego postanowienia, z organicznego por-ywu woli, z samodzielnej, rozprężliwością swoją siły umysłowej w ruch wprawiającej, potrzeby czy żądzdy dokonania danego dzieła. Pierwszy pomysł użytkowania notat, jakie miał u siebie Estreicher, wyszedł od Szlachtowskiego, a stała postać całemu opracowaniu nadał Józef Szujski, dla którego było ono jakby rozrywką w chorobie. Z rąk Szujskiego dostał się przygotowany wykaz Estreicherowi, a wzbogaciwszy się tytułami nadesłanymi przez d-ra Wisłockiego z Biblioteki Ossolińskich, przeszedłszy przez manipulację sprawdzań i uzupełnień we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Poznaniu i innych miejscach, rozwinął się nareszcie w książkę. Praca samego Estreichera w tej książce jest mniejszą od pracy innych ludzi; jego własnym jest ostateczne zredagowanie, mozołnie zapewne, ale nie systematycznie, zbieranych wiadomości. W *Bibliografii XV i XVI stulecia* mamy tylko chronologię ze skróconemi tytułami, chronologię niedokładną, przerobioną w lat kilkanaście (1887) przez Estreichera w tomie VIII ogólnego zbioru, ale i w tem nowem opracowaniu mającą tylko wartość arkuszy korektowych, jakie biblioteki wielkie rozsyłać zwykły przed wydaniem katalogu z druku. Aż trzydzieści dodatków i uzupełnień, podanych istotnie tylko jako korekta, bo drukowanych tylko po jednej stronie, a odbijanych na papierze do pisania, — uzupełnia jeszcze ten przerobiony już wykaz. Można sobie wystawić całą trudność korzystania ze spisu, rozczłonkowanego na czternaście części; tyle też, dla znalezienia jednego szczegółu, potrzeba przedsiębrać poszukiwań.

Estreicher nie czekał na krytykę, aby spostrzedz nieodpowiedniość takiego wydania dla badań historyczno-literackich: zebrał wszystkie te *membra disjecta*, złożył w jedną chronologiczną i słownikową całość i wydaje obecnie w drugiej części tomu XI<sup>(5)</sup>. Wraz z wyjściem tego jednolitego już wykazu dopełniającego całą pierwszą część tomu VIII, rzymskimi liczbami znaczona, stanie się niepotrzebną. Dopełnienia obejmą cały obszar czasu od 1455 do 1889<sup>(6)</sup>, t. j. do punktu, do którego sięga i sam główny wykaz chronologiczny w pierwszej, wydanej już, części tomu XI-go. Bo trzeba wiedzieć, że całą już przeszłość ogarnął Estreicher. W głównym tekście tomu VIII, liczbowanym po-arabsku, pomieścił chronologię, nie tylko XV i XVI, ale i XVII wieku, a tom IX, wydany w r. 1889, poświęcił na bibliografię w. XVIII, bez ostatniego, 1800, roku, gdyż niewłaściwe oznaczenie stuleci, raz wkradłszy się do wieku XIX, utrwaliło się już i skryształizowało w stały fakt metodyczny.

Usilność, wytrwałość, upór woli, wydały wreszcie z siebie to, co nie leżało w kierunku pierwotnych studyów Estreichera. Poprawiany tylokrotnie

(5) Do życzenia byłoby wydanie tej drugiej części tomu XI jako samoistnego tomu; sam przedmiot wyodrębnia ją od części pierwszej. Bibliografia XIX stulecia powinna wytwarzać całość w sobie zamkniętą, i dlatego wypadłoby z zapowiedzianych dopełnień wydzielić lata 1801—1890.

(6) Tak pisze Estreicher w liście z d. 25 Grudnia 1889 r.; wobec doprowadzenia rdzennej, abecadłowej bibliografii aż do r. 1890, w zapowiedzianym tomie XIII, niezbędnym jest również i posunięcie wykazu chronologicznego aż do końca tego roku.

regestr chronologiczny dawnych stuleci daje już zapewne poważne oparcie dla bibliografii właściwej, abecadłowej, z całkowitemi tytułami i wszystkimi znamionami księgoznawczymi; żałować jednak potrzeba, że pracy nad dawnymi stuleciami, przynajmniej do końca XVII-go, nie okielzano od razu surową zasadą: to tylko wejście do bibliografii, co się znajduje w bibliotece, a wszelkie wskazówki, doniesienia, wiadomości, noty złożą osobną całość, dla historyka literatury szacowną, ale niemającą prawa wejść do książki, która z istoty swej i przeznaczenia inwentarzem tylko, ale koniecznie już inwentarzem, być powinna.

Nad słownikową bibliografią dawnych stuleci, taką, jaką nam podają co do XIX-go w. T. T. I — VII-go ogólnego zbioru, ale z doskonałym układem, bo w jednej niepodzielnej całości, pracuje Estreicher obecnie. Ma do niej nagromadzoną takasamą, w przybliżeniu, liczbę tytułów, jaka występuje w *Bibliografii IX stulecia*: siedemdziesiąt kilka tysięcy; ale obszerniejszego jeszcze miejsca będą potrzebowały dla siebie te dawne wieki, niż bieżący. Wydań wtórnych jest znacznie mniej, a tytuły same rozciąglejsze, przytem i uczucie czci dla przeszłości nakazuje przy niejednym dziele i wogóle rzeczy drukowanej zamieścić znamiona, podać fakta, które drukom bieżącym świadczyłyby zbyt wiele zaszczytu. Dość tylko pomyśleć o tytułach panegiryków przez 120 do 130 lat aż do r. 1764; dość ogarnąć myślą pół miliona odnośników — literalnie *pół miliona* — którymi najdzielniejszy z bibliografów polskich wzbogacił swój słownik bibliograficzny — aby mieć przed oczyma wyobraźni te olbrzymie obszary, jakie zajmie przygotowywane dzieło. Przeznacza na nie Estreicher T. XIV i następne ogólnego zbioru; nie ukończy go chyba nawet w T. XX-ym.

Po dobrem (7) wykończeniu bibliografii wieków ubiegłych, a przetworzeniu bieżącego w drugim, oby jaknajrychlejsem, wydaniu, praca Estreicherowska, zaczęta jeszcze w dniach młodości, bo w r. 1848, będzie miała prawo do nazwy dzieła pomnikowego. Dotychczasowe już prace Estreichera, chociaż niedokładne, odsłoniły przed wiedzą historyczną literatury fakta nieprzeczuwane nawet przez najpoważniejszych badaczy. Tak np. z 294 druków Wiszniewskiego za lata 1501 — 1536 usilność i wytrwałość zrobiły aż 1.500, tyle ich bowiem było rzeczywiście. Druków ze wskazanym wyraźnie rokiem, nietylko z miejsca, ale i z języka polskich, od r. 1515 do 1599 naliczył Estreicher 1 507, „bez roku“ 304; po dodaniu 62 z r. 1600 otrzymujemy na wiek XVI. czyli od samego początku wogóle 1.873 druki tej kategorii. Druków (łacińskich i innych) w XV w. było 220, w XVI w. bez roku 1600-go wszystkich wogóle 8.205. Wiek XVII przyniósł 23.410, a XVIII przeszło 44.000. Wogóle do r. 1799 włącznie oblicza Estreicher 75.835 druków, od 1800 — 1870 — 49.228, od 1870 — 1885 około 20.000. Jeżeli dołączymy żniwo ostatniego pięciolecia i pokłosie lat poprzednich XIX w., otrzymamy w summie, jako liczbę chyba najniższą, drugie siedemdziesiąt pięć tysięcy. Sto pięćdziesiąt tysięcy będzie miało swoją nieprzepartą wymowę, — dzięki właśnie Estreicherowi. W drukach bieżącego stulecia język ojczysty przeważa tak silnie, że inne znajdują się w nikłej mniejszości; ale inaczej było w wiekach ubiegłych, gdy Europa cała żyła łaciną. Z liczby 73.000, w którą pierwsiastkowo ujmował Estreicher cały dobytek wieków dawnych, tylko 20.000 przypada na rzeczy polskie; dwie trzecie na łacińskie, pozostałość na inne (8).

(7) Dobrem nazwać go nie będzie można, jeśli do wykazu wejdą także i druki, ani podmiotowo, ani przedmiotowo, ani terytoryalnie, nienależące do całości spuścizny książkowej, a legitymujące się tylko tem, że je autor lub drukarz cudzoziemiec zaofiarował jakiemuś panu lub uczonemu. Wykaz takich druków, zapewne użyteczny, powinien złożyć osobną całość i być wymienionym na tytule właściwego tomu.

(8) Ob. Przedmowy do T. T. VIII i X *Bibliografii Polskiej*.

Czas już od dzieła wrócić do człowieka, aby znowu spotkać się przy nim z dziełami, ale innego już zakresu i o wiele mniejszego znaczenia. D. 24 Sierpnia 1868 r. zamianowany bibliotekarzem przy Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał Estreicher już d. Maja 1869 r. podziękowanie ministerjalne za płodną działalność i staranie o ulepszenia w wewnętrznych porządkach biblioteki. W r. 1870 został przezeselem umyślnie wytworzonej dla wydawnictwa *Bibliografii* Komisji Bibliograficznej. Jako członek Towarzystwa Naukowego w r. 1872 przeszedł do nowo utworzonej Akademii, do wydziału jej filologicznego. Tutaj, gdy później powstała Komisja językowa, mająca radzić nad sprawami języka, a głównie uregulowaniem pisowni i grafiki, znalazł się w niej także Estreicher. Każdy konkurs dramatyczny rozstrzygany w Krakowie powoływał człowieka zamiłowanego w teatrze i dramacie do grona sędziów i sprawozdawców. Zajmowały przytem Estreichera żywo sprawy obywatelsko-akademickie, jak zatwierdzanie i rozdawanie stypendyów, wyjednywanie zapisów dla uczonego ciała, likwidowanie funduszy przypadających na rzecz uniwersytetu lub akademii, a później i sprawy Szczawnicy, zapisanej przez Szalaję. Przyniósł się nasz bibliograf bardzo stanowczo do utworzenia stypendyów Szklarskiego, Zubowskiego, Wereszczyńskiego, i za to dwa podziękowania od senatu akademickiego otrzymał. Zlewając się coraz ściślej umysłowo i społecznie ze stronnictwem w Galicyi panującym a na Uniwersytecie Jagiellońskim i w akademii rej wiodącym, coraz miłszy Szujkiemu i Tarnowskiemu, otrzymał Estreicher na przedstawienie senatu uniwersyteckiego w Listopadzie 1881 r. order Żelaznej Korony kl. III, a wraz z orderem szlachectwo z przydomkiem „Rozbierski“, z którego nawet w jednym ze swoich pomniejszych wydawnictw skorzystał (9). W r. 1889 postanowiono we Lwowie uczcić czterdziestoletnią pracę, której początki ukazały się właśnie w czasopiśmiennictwie lwowskim; wybito medal i dla wręczenia go w zimie t. r. wysłano umyślną deputacją. Nieobecny był ci, których nie powinno było właśnie zbraknąć na uroczystości upamiętniającej, jeśli nie uczoność, to przynajmniej niestrudzoną pracowitość. Nie pisząc biografii, na tych wzmiankach, w *Kronice Uniwersytetu Jagiellońskiego* i w rubryce potocznej dziennikarstwa współczesnego podanych, poprzestać można.

Prace Estreichera poza wielką Bibliografią w Krakowie dokonane są dość liczne. Przewszystkiem w zakresie specjalności swojej opracował następcę Bandtkiego i Muczokowskiego bibliografią dwóch wydawnictw peryodycznych, zarówno w owej epoce (1872 — 6) poważnych: *Biblioteki Warszawskiej* i *Tyg. ilustrowanego* (*Zestawienie przedmiotów 1875* i *Spis artykułów 1877*). W roku 1872 zaczął zamieszczać w *Afiszu* krakowskim przyczyńki do historii teatru jako wyjątki z wielkiego dzieła *Historia dramatu w Polsce*, i, prowadząc je przez lat pięć, złożył z nich, zasobne w świadectwa, lecz wcale nie opracowane, trzytomowe (in 16-o) dzieło: *Teatra w Polsce* (1873, 6 i 9). Przerwane na Lwowie, choćby tylko jako zbiór materiałów, dokończonem ono nie jest. Szereg prac literackich rozpoczęły biografie: *Tomasz Kajetan Węgierski* i *Daniel Janocki* w r. 1869; pierwsza, rozszerzona w r. 1883, zasługuje na uwagę. W r. 1871 ukazała się broszura o *Kraszewskim*, w r. następnym wspomnienie o pomocniku w bibliografii XVI stulecia, *Szlachtowskim* (w *Na dziś*). Rok 1873 przyniósł tylko przedruk abecadłowego wykazu do Jochera z II tomu *Bibliografii*. Dopiero w r. 1878 i 9 znowu *Kraszewski* pobudził jubileuszem swoim Estreichera do wystąpienia z przypomnieniem zasług pięćdziesięcioletniej pracy: 9 metrów trzyma ułożony przez bibliografa wykaz chronologiczny dzieł tego

(9) „Przechadzka po Bibliotece Jagiellońskiej, list *Steutsch'a - Rozbierskiego* do R. B.“ str. 45, 5 drzeworytów (Kraków, 1882).

tytana, o którym przecież tak prędko zapomniano, że dziś niema mu nawet za co skromnego pomniczka — gdybyż pomniczka! — ale prostej tablicy, w murze kościoła Ś-to-krzyżkiego wprawić. W r. 1880 skreślił Estreicher dwa drobne wspomnienia: o *Aleksandrze Kremerze*, bracie Józefa, (*Gaz. Lwowska*), i o *Waurzyńcu Puttkamerze*, mężu Maryli (*Przewodnik naukowy i literacki*). Na r. 1881 przypada najważniejsza praca literacka autora *Bibliografii*: *Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie 1807 — 1832* (*Przewodnik*), rzeczywiście już ważna i dla piszących o autorze *Mohorta* niezbędna. W r. 1882 przygotował Estreicher w upominku dla zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie opis *Biblioteki Jagiellońskiej* i napisał wspomnienie o *Fran. Kandydzie Nowakowskim*, bibliotekarzu w Suchej pod Krakowem. Wreszcie, w r. 1887, po śmierci Kraszewskiego, obchód pogrzebowy wywołał *Sześćdziesiąt lat pracy J. I. Kraszewskiego* (1828 — 1887), szczegółowe zestawienie chronologiczne i abecadłowe, starannie opracowane (str. 83), oraz artykuł dziennikarski p. t. *Fenix Polski*.

Oto są sprawy jego żywota: te tylko powszechność czytającą obchodzić mogą. Jest ich, jak widzimy, wiele, bardzo wiele. Dziś człowiek zbliża się już do bram 65-go roku życia, ale jest jeszcze rzeźki, pracę kocha i dziecię swojego ducha, *Bibliografią*, myślą swoją jeszcze wypieszcza. Pisał o nim do mnie przed rokiem: „Ja nie dokończę druku, ale syn dokończy, bo on mnie doskonale rozumie i ma niezwyčajne zdolności“. Tożsamo niedawno, i jeszcze wyraźniej, p. Zygmuntowi Wolskiemu, kustoszowi Bibl. Ord. Krasieńskich, powtórzył. Rozum i zdolności syna niechaj znajdą dla siebie miejsce w świecie jak najpodnioślejsze, a praca, którą rozum i zdolności ojca rozpoczęły — niechaj się przez nie też i dokona. „Dwadzieścia tomów i trzydzieści lat pracy“ — pisze Estreicher — ale tego zawiele. Rok po roku, tom po tomie, skoro „już wszystko gotowe i tylko drukować“ — a złoży się całość, tak gorąco upragniona, i, niosąc pożytek społeczeństwu uśmiechem prawowitgo zadowolenia rozjaśni oblicze starca.

Stanisław Krzemiński.

## Ze znalezionych kartek.

(Dalszy ciąg).

Dnia 12-go Grudnia.

Grudzień-to najpóźniejszy, najmniej słoneczny miesiąc u nas. A tutaj mamy codziennie 12 do 16 stopni ciepła: pogoda, pomarańcze kwitną i całe powietrze przejęte ich wonią.

Robimy wycieczki, spacerujemy, pieszo, w powozie lub na osłach. Nie wszyscy jednakże gustują w tego rodzaju rumakach. Janusz dla siebie i dla Wandy wystarał się o konie. Najczęściej teraz wyruszamy w pochód w następującym porządku: Ojciec, ciotka, ja i Gucio w otwartym powozie, Janusz i Wanda koło nas na dwóch pięknych, białych klaczach. Oboje oni robią na wszystkich wrażenie studenta i pensjonarki, którzy wyrwali się z pod dozoru surowych mistrzów i używają pełną piersią długo wzbronionej swobody. Jaka ja stara w porównaniu z nim!

Na drugi dzień po przyjeździe Janusza zeszliśmy, jak zwykle, na dół, do salonu. Ona usiadła do fortepianu i zaczęła śpiewać swoim miłym, młodością silnym głosem znaną dobrze piosnkę „Oh, powiedz mi!“ Ja wyszłam na werendę, by, jak codzień, odbywać tam moją kurację, to jest odychać ciepłem, łagodnym powietrzem tej leczniczej krainy. Na werendzie niespodziewanie zastałam Janusza. Chcąc, żeby usłyszał śpiew Wandzi — a wiedziałam, że obecność jego spłoszy dzikiego ptaszka — dałam mu znak, że należy się

zachować jaknajspokojniej. Słuchaliśmy zatem w skupieniu ducha i uważałam, że na mego towarzysza, otrząskanego przecież z artystycznymi efektami, ta prosta melodia silnie wywiera wrażenie. Ale, bo też głos Wandy miał tym razem jakąś niezwykłą siłę i rzewność; drgała w nim prawda.

Skończywszy śpiew, zamknęła gwałtownie fortepian i przeszła do nas. Komiczne było jej zmieszanie na widok słuchacza, którego się bynajmniej zastać nie spodziewała. A jednak kto wie, czy nie do niego właśnie odnosiły się namiętne, smutne dźwięki tej pieśni?

Janusz głębokim ukłonem podziękował i zaprosił zapłoniłą śpiewaczkę.

Dlaczego mnie nie dano w śpiewie wypowiedzieć pragnień i tęsknot mego ducha? Nędzne płuća moje nawet mi tego zadośćuczynienia dostarczyć nie mogą.

Dnia 17-go Grudnia.

Ciotka dla siebie i Gucia wynajęła całą willę w naszym sąsiedztwie. Widujemy się kilka razy na dzień. Ciotka tak bardzo łaskawa jest na mnie; tyle nowych przymiotów odkrywa codziennie w mojej osobie, że niesmak wielki zaczyna to wszystko budzić w niewdzięcznej i, niestety, niepozabawionej przenikliwości duszy mojej.

Gucio nie odstępował mnie, na spacerach jest moim cieniem, w rozmowie przysłówkiem twierdzenia, w chwilach zadumy lekkim, zaledwie dosłyszalnym, westchnieniem.

Nudzi mnie. Zabrał mi wszystkie chwile samotności i wypełnił je swoją powszednią, niesmaczną osobą. Zresztą sędzę, że i on nie bawi się w moim towarzystwie, i tylko rozkaz z góry, a zapewne i niewesołe horoskopy przyszłości, mogą go na cierniowym stanowisku mego konkurenta utrzymać.

Wandzi młody hrabia nie podobał się mocno. Objaw łatwo zrozumiały.

Proste, naturalne dziewczę instynktem odgaduje obłudę i zepsucie.

Za to on pożera ją oczami, a wobec mnie udaje obojętność, nawet niechęć i lekceważenie. Bawi mnie to, ale i gniewa zarazem.

Wogólności ciocia i kuzynek działają mi na nerwy.

Rozpisałam się o nich, jakgdyby istotnie główne miejsce w mych myślach zajmowali. A tymczasem ja przez cały dzień zostawałam pod wrażeniem nieznośnego kłócia w boku. Mam przytem ze 39° gorączki...

Cioci uśmiecha się synowa, po którejby w kilka dni po ślubie żałobę włożyć można.

Dnia 21-go Grudnia.

Co kilka dni mam wizytę lekarza. Rzecz to dla mnie niesłychanie przykra i męcząca. Tym razem zastał mnie zdrowszą, zalecił tylko jaknajdłuższe przebywanie na świeżym powietrzu.

Siedzę więc całymi dniami na mojej ulubionej werendzie; wolę to, niż spacer. Wesołość ogólna razi mnie. Jestem czarną plamą na jasnym tle powszechnej zabawy.

Dnia 30-go Grudnia.

Kiedyś w dzieciństwie—pomnę, w cudowny słoneczny dzień—zachciało mi się biegać po łące. Kwiaty i trawy dochodziły mi do szyi prawie.

Nademną w górze śpiewały skowronki i śmiało się niebo radośnym a tęsknym uśmiechem błękitu. Dusza zaczęła się wyrwać ze mnie, pragnęłam biedz gdzieś w niezmierną dal.

Prosiłam bony mojej, by mi pozwoliła zanurzyć się w to morze kwiatów.

— Nie można, panienko, zarosi panienka buciaki.

— Niczego nie można! — Zachmurzyłam się i czekałam póki nie odwróci się odemnie. Gościńcem przejeżdżał powóz. Oczy mojej opiekunki podążyły za nim, a ja tymczasem, jak szalona, rzuciłam się w trawy.

Biegłam bez upamiętania, rozłożywszy ręce. W przelocie mijałam kwiaty, dążyłam gdzieś, nie wiem gdzie, goniona jakąś marą przedziwnego bytu. Gdy bona mnie schwyciła nareszcie—byłam prawie bezprzytomna ze znużenia, chwiałam się na nogach, doznawałam zawrotu głowy. Przez cały dzień następny płakałam i grymasiłam, rozdrażniona i chora. To samo dzieje się ze mną teraz. Nieujęte jakieś pragnienia rozsadzają mi piersi; rzucam się, wysilam, biorę udział w zabawach, wycieczkach, spacerach, a zewsząd wynoszę uczucie, że tam niepotrzebna. Bo po co wciskać mi się między żywych i grać rolę upiora! Widoku mego nie pragnie nikt. Lepiej mi się zamknąć w mojej samotni; przynajmniej uniknę śmiertelnego znużenia. Ale z drugiej strony to tak straszno myśleć o śmierci i być samą!

Dnia 5-go Stycznia.

Wieczór. Gwiazdy srebrnymi promieniami mrużają na mnie z błękitów przestrzeni. Te gwiazdy mi nie obce. Pamiętam w dzieciństwie starą niankę moją, jak w nocy na prośby dziecięcy wyjmowała bezsenność z łóżka i pozwalała przypatrywać się tym tajemniczym światłom. Gwiazdy zjechały ze znicza. Pamiętam, gdy promień księżycy padł na twarz starej. Zmarszczki jej nikły, oczy nabierały blasku; była młoda i ładna.—Niemi—mówiłam—czy moja mama tam gdzie te gwiazdki?

— Niemi twojej mamy, maleńka—odpowiadała mi żalonym głosem.

Biedna ty, sierotka! Ty już nigdy szczęśliwą nie będziesz! Ani cię kto przytuli, ani popieści! Niemi mateńki twojej, niemi!—

Prawdę mówiła wieśniaczka uboga. Ach, jaka ja sama! Nie mam nikogo i nikomu nie jestem potrzebna!

Boże, poco Ty stwarzasz wydziedziczonych?!

Dnia 8-go Stycznia.

Kochać a nie być kochaną—o, chyba nie może być większej hańby dla kobiety! Może nawet nie powinienam zapisywać tej karty, może ją zniszczę po napisaniu. Zrobiłam przerażające odkrycie. Kocham człowieka, którego uczucie dla mnie zaledwie mianem liłości ochrzcić się daje. A tak byłam pewną siebie, tak czułam się chłodną i niedostępną.

Przyszedł, popatrzył na mnie smutnymi oczami, dotknął lekko mej ręki, jakby się obawiał uścisku chorej zwilgotniałej dłoni, i odtąd patrzył już tylko na Wandę, —a przecież zabrał mi duszę!

Ach, gdybym mogła pozbyć się tej maryl! Czyż miłość przystoi mnie?

Doprawdy, czuję się tak upokorzona tem, co dzieje się we mnie, tak nieszczęśliwą i pogardą godną, że długo przed samą sobą przyznać się nie chciałam do prawdy. To nad siły mojej!

Dnia 12-go stycznia.

Czasem zapytuję siebie: poco ja wszystkie męki moje w tym dzienniku spisuję? Nie będą to dla mnie miłe wspomnienia, a zresztą ja już wspomnień mieć pewno nie będę. To egoizm, właściwy ludzkiej naturze, każe mi mówić o sobie, a że nie mam na całej tej szerokiej a pustej ziemi, ani jednej duszy, z którąbym szczerze mówić mogła i chciała, więc zabazgruję drobnem i nieczytelnem pismem te karty. Nie chciałybym, aby ten pamiętnik po śmierci mojej czytali moi najbliżsi. Ojcu serce-by rozdarł, a może i trochę goręczy pamięć o mnie zaprawił. Wobec innych duma moja jeszcze-by w grobie cierpiała...

Coraz częściej zimne przebiegają mnie dreszcze, a Wandzie tymczasem było kilka dni temu gorąco—rozumiem!

D. 16-go Stycznia.

Po co ja jeszcze wlokę te utrapione dni? Wstydzę się sama siebie, a wyznać muszę, że nigdy nie czułam tak dotkliwie nędzy mojej, jak w tej chwili.

Wczoraj po południu siedzieliśmy z Wandą pod werendą. Powietrze było takie ciepłe i jasne. Wzgórza w oddali rysowały się wyraźnie na niezamąconym błękitnie nieba. Gołębie, czy inne jakieś ptaki, przelatowały nad nami od czasu do czasu. Było mi dobrze. Wanda czytała, ja zaczęłam marzyć, jak zwykle. Powoli jakieś osłabienie ogarnęło mnie, przymknęłam oczy. Nie spałam; przeciwnie, widziałam wszystko co działo się wokoło mnie. Wanda podniosła oczy od książki i zapatrzyła się w ogród. W końcu alei ukazał się Janusz. Szedł jakiś zadumany. Z tym smutnym wyrazem, z temi długimi blond włosami, pod tem niebem południa, wydał mi się schwytanym w rodzinnych borach niewolnikiem, którego przywiedziono na dwór Cezarów.

Wszedłszy na werendę, spojrzął na mnie z politowaniem i powiedział szeptem: — śpi.—Wandzie podał rękę i przez kilka chwil, to na nią, to to na mnie spoglądał, w końcu wzrok jego spoczął na jej ciemnej, pasową różą ozdobionej główce, z taką tkliwością, z takim ogniem serdecznym, że widziałam, jak pod tem spojrzeniem Wandy twarz różowym płomieniem się oblała.

Na mnie narzeczony mój nigdy tak nie spojrział.

Zazdrość Wandzie tego rumieńca, z którym była piękna. Zazdrość jej miłości Janusza. Ktoś mógłby powiedzieć, że to wszystko jest przywidzeniem z mojej strony. Ja się nie mylę. Dość postawić nas dwie koło siebie: mnie, z moją śmiertelną maską, z gorączką w oczach, z chudością szkieletu—i ją, tę kwitnącą lilię.

Wanda jest ładna, bardzo ładna, a przytem jest młoda, zdrowa, urok od niej wieje jak od łąki zielonego zboża na wiosnę. A ja co?

Jam potępiona, w kolebce na zagładę skazana! U kogo ja się o moje krzywdy upamięnę?

Wstyd mi; gorące, gorzkie łzy leją się z moich oczu. Ojciec może nadejść i schwytać mnie na gorącym uczynku pisania i płaczu. Nie dostałabym potem pióra i atramentu do ręki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie zapowiadają urządzenie wystawy charakterystycznych okazów robót kobiecych ze wszystkich prowincji, nie pomijając syberyjskich i kaukazkich. Album chromolitografowane, przedstawiające parę tysięcy okazów, zebranych przez promotora wystawy, Dalmatowa, zostało wydane. Znaczenie wystawy będzie historyczno-etnograficzne; popiera ją Towarzystwo Geograficzne, Muzeum Historyczne w Moskwie i Akademia Nauk w Petersburgu.

— Towarzystwo Osad Rolnych zakłada w Warszawie przytułek dla dziewcząt opuszczonych, które kształcić się tam będą do służby domowej, jako kucharki, młodsze, piastunki.

— Warszawski Bazar Pracy kobiet przy ulicy Wierzbowej rozszerzył w sposób bardzo pożądaną działalność swoją. Można tam znaleźć po cenach przystępnych bieliznę wszelkiego rodzaju, ubrania dziecięce, szlafroczy dla pań, kaftaniki i rozmaite przybory gotowalne w dużym wyborze, obok drobiazgów elegancyi domowej. Fartuszków, na przykład, znajduje się obecnie w Bazarze 150 — prostych i wytwornych, haftowanych, malowanych. Bazar zatrudnia znaczną liczbę robotnic — robotnic tej kategorii właśnie, które publiczność najusilniej popierać powinna ze względu, że przedstawiają one pracę w domu, w rodzinie, którą wspomagać i podnosić jest obowiązkiem, gdyż wiąże się ona z celami wielkiej ważności. Nietylko, że robotnica pracuje tu na zysk własny i, prócz małego procentu na utrzymanie instytucji, nie dzieli się zarobkiem

z przedsiębiorcą żadnym, ale przytem jeszcze pracuje w domu, wśród rodziny, pod jej opieką, nie jest więc narażona na te różne wpływy z zewnątrz — wpływy wielkiego miasta — z którymi pracująca poza domem spotykać się musi, a które, jakże często, jak często, z gubną są i w nieszczęścia obfit! Bazyry przedstawiają na małą skalę to, czego pragną dla ludzkości moralisci i filantropowie: wydostania się pracy z rąk pośredników i przedsiębiorców — z przewagi kapitału, który ma własne cele swoje i niemi rządzi się głównie.

— Na dorocznym zebraniu Rady Opiekuńczej i Zarządu *Schronienia Nauczycielek*, odbytem w lokalu *Schronienia* przy ulicy Długiej N-r 9, pod przewodnictwem vice-prezdydującej, p. Emilii Blochowej, dopełniono wyborów do Rady Opiekuńczej, oraz Zarządu. Radę Opiekuńczą składają panie: Hr. Raczyńska Róża, jako prezdydująca, Blochowa Emilia, jako vice-prezdydująca, Baranowska doktorowa, Bogusławska Władysława, Brzezińska Janowa, Gutmann Edwardowa, Hantke Bernardowa, Kamocka Józefa, Jasińska Anna, Lange Julia, Leska Anna, Morawska Zuzanna, Sulikowska Karolowa, Szlenkierowa Marya, Warnke Jadwiga, Wieniawska Julianowa, Zarzycka Alexandrowa. Zarząd tworzą p. p. Brzezińska Teresa, Dobrska-Tomaszewicz, hr. Ronikierowa Wiktorowa, Sikorska Jadwiga. Na prezdydującą w Zarządzie wybrano hr. Ronikierową, na kassjera p. Łuniewskiego. Księżna Maciejowa Radziwiłłowa złożyła tytułem zasiłku na rzecz *Schronienia* nadesłane jej 404 rs.

— Dzienniki doniosły o szlachetnej dobroczynności młodej panny P., spełniającej w dzielnicy Starego Miasta funkcje świeckiej Siostry Miłosierdzia. Rozciąga tam ona opiekę nad ośmiu ubogimi rodzinami, zawdzięczającemi jej jedynie, że nie cierpią głodu, że mają w chorobie lekarstwo, opiekę i ciepły przyodziewek wśród ciężkich mrozów zimy. Rodziny te zamieszkują: cztery w suterench, trzy na poddaszu, jedna w komórce, służącej za chlew. Szlachetna filantropka nie pieści się, bo dobroczynne jej wycieczki odbywają się między dziewiątą a dziesiątą godziną rano. Widać też, że nie baluje po nocach i sprawdza na sobie przysłowie: kto rano wstaje, temu Bóg daje... Tu Bóg dał nie zasypiającej poranków natchnienie do cnoty — zasługę dobrego uczynku.

— Na dorocznym zebraniu ogólnem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności mianowano: p. Maryę Roesler główną opiekunką zakładu sierot dziewczynek, p. Zuzannę Wszeborową opiekunką, hr. Gustawową Przeddziecką przewodniczącą w radzie opiekuńczej ochrony N-r 28, p. Konstancję Wołowską opiekunką ochrony N-r 23, p. Annę Kaftalową opiekunką szwalni N-r XII, hr. Karolową Brzozowską opiekunką Towarzystwa, p. p. Ignacyą z Wyszyńskich Zembruską i Annę ze Skarzyńskich Węglińską opiekunkami ochrony N-r 3.

— Zmarła w Meranie ś. p. Cecylia z Niemieryczów Bielińska zapisała ostatnią swą wolą: Warszawskiemu Tow. Dobroczynności 10.000 rs.; na stypendya dla niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego wyznania rzymsko-katolickiego 10.000 rs.; Towarzystwu Osad Rolnych 8.000 rs.; Instytutowi Głuchoniemych 6.000 rs.; na Nędzę Wyjątkową do rozporządzenia Sióstr Miłosierdzia 5.000 rs. Na dom podrzutek w Warszawie 5.000 rs. Ogółem dobroczynne te zapisy wynoszą 40.000 rs. P. Mścisław Godlewski, redaktor *Słowa*, został wyznaczony na wykonawcę testamentu.

— Panie, zamieszkujące Wiedeń, usiłują wprowadzać w modę wachlarze malowane dla dania zarobku niezamożnym malarkom, jak również malowane parawaniki, ekrany przed kominki, i wogóle rozpowszechniać zapomocą mody malowanie stosowane do przemysłu, będące ważną gałęzią zarobkowej pracy kobiet z klas intelligentnych.

— Towarzystwo oszczędności kobiet, założone świeżo w Krakowie za przykładem Lwowa, zaprosiło na przewodniczącą p. Mieczysławową z Dzieduszyckich Pawlikowską, a na zastępczynią p. Wandę Longchamps. Jednym z główniejszych celów Towarzystwa jest wspieranie niezamożnych włościan przez bezwrotne zapomogi i pomoce w zakładaniu szkółek miejskich.

— Stowarzyszenie kobiece Ś-tej Jadwigi, którego przewodniczącą jest hr. Andrzejowa Potocka, postanowiło wobec biedy i braku pracy, który daje się czuć w Krakowie, zająć się dostarczaniem chlebobajnego zajęcia dziewczętom ubogim, rodziny pozbawionym. Każda ze stowarzyszonych bierze pod opiekę kilka takich dziewcząt z obowiązkiem wyszukania im pracy, a można to nazwać miłosierdziem najszlachetniejszego rodzaju, bo, nie poniżając tych, które z miłosierdzia korzystają, podnosi miłosierdzie czyniącą.

— Sędziwa powieściopisarka szwedzka, Emilia Carlen z domu Schmidt, z pierwszego małżeństwa Flygare, wpadła w obłąd umysłowy po niepomysłnej operacji oczu i koniec życia, w którym przebywała wiele prób ciężkich, zakończy zapewne w smutnym stanie nieprzytomności rozumu. Urodzona w r. 1807 w mieście Strömstadt została wczesnie wystawiona na przejścia prób ciężkich, bo rodzice jej zubożeli; bieda przecież była dla niej dobrą wrótką, otwierającą jej krajnie, gdzie mogła uciekać przed troskami powszedniego istnienia. Chcąc pomódz rodzicom, odważyła się dać do druku utwory młodego swego talentu, i to dało jej obok dobrobytu, który zapewniła rodzinie, i uznanie — sławę. Za mąż wyszła młodo, za lekarza Flygare, ale nie był to związek szczęśliwy: to też owdowiawszy niedługo, w r. 1833, poszła raz drugi za mąż — za poetę, Jana Gabryela Carlen, i teraz już życie jej płynęło wśród tych warunków, które pozwoliły tak się rozwinąć talentowi, że pozyskała sławę dobrej powieściopisarki, rozszerzoną poza granice jej ojczystego piśmiennictwa. Tłómaczenia jej powieści na język niemiecki dały jej następnie miejsce niepoślednie w literaturze powszechnej, bo za ich pośrednictwem rozszerzyło się koło czytelników, a z kolei przyszły i przekłady, jak się to stało właśnie u nas.

— Angielka, miss Eleonora Dodson, ustanowiła przy Londyńskiej Szkole Medycyny dla kobiet czteroletnie stypendyum dla tej ze studentek, która następnie zechce udać się do Indyi z celem leczenia kobiet w Zenanach, to jest w tych domowych zamknięciach — *babińcach*, w jakich Indyjki żyją odosobnione od mężczyzn. Jest już obecnie trzydzieści trzy doktoryzowanych lekarek, praktykujących w Indyach i zostających w związku ze stowarzyszeniem, zawiązanem w celu, aby kobiety odpowiednio wykształcone zastępowały lekarzy mężczyzn, którzy, dla względów religijno-obyczajowych, nie mogą tam leczyć kobiet. Dwadzieścia dziewcząt z narodowości Parsów, przedstawiło się w bieżącym roku władzom uniwersyteckim w Bombaju do egzaminu na matrykulacyą z celem studyowania medycyny. Jest to rysem uderzająco-charakterystycznym, że wszystkie przyjęły w stosunku do władz uniwersytetu język francuzki, którego też używają wszędzie tam, gdzie mówić nie mogą własnym.

— Miss Drexel, inaczej Siostra Katarzyna, Amerykanka, założyła w Pittsburgu zgromadzenie zakonne pod nazwą „Sióstr od Najświętszego Sakramentu“, poświęcając na ten cel ogromną swą fortunę, wynoszącą milion sześć kroć sto tysięcy funtów sterlingów, z postanowieniem obleczenia sukni zakonnej, co nastąpi w przyszłym miesiącu. Zakon ma cel szlachetnie humanitarny kształcenia, wydzwigiwania z niedoli i ciemnoty, która jest już sama w sobie niedolą największą, bo wszystkie inne płodząca, Czerwonoskórych Indyan. Jest to jakoby szlachetny protest kobiety przeciwko okrucieństwu i bezprawiu, jakiego dopuszcza się właśnie rząd Stanów Zjednoczonych, srogo tępiąc, skazując na okrutną, bezbożną zagładę tę ludność, która przedstawia prawowitych dziedziców ziem tamtych. Opieka zgromadzenia rozciągać się ma i do murzynów, którzy w Ameryce Południowej są nędznymi niewolnikami białego człowieka. Tu już dał się słyszeć protest szlachetnie założony przez amerykańskiego poetę, Longfellow'a w szeregu poezyi, poświęconych tej okrutnej sprawie ujarznienia człowieka czarnego z celem, aby się stał robczem bydlęciem białego. Szlachetna filantropka chce tu stanąć do pomocy nieszczęściu przeciw grzechowi, dając bezbronnym, bo ciemnym możność oparcia się i obrony przez rozjaśnienie umysłów. Klasztor Zgromadzenia i szkoły zostaną wzniesione w pobliżu, w miejscowości Arundal.

— Grono pań z wyższych sfer angielskich zespoliło się w stowarzyszenie z celem pewnego oświecania kobiet z ludu w zakresie fizyki popularnej, aby, korzystając z zastosowania w gospodarstwie domowym nowożytnych wynalazków, naprzykład: gazu, pary, umiały obchodzić się z niemi tak, aby nie ściągały na siebie i rodziny swoje niebezpieczeństw, które sprowadzać tu może nieświadomość. Kosztem stowarzyszonych wyjdą i bezpłatnie rozdawane będą książeczki z przedmiotem wspomnianych odczytów.

— W związku myśli z filantropijną działalnością dobrej bogaczki zostaje książka, wyszła świeżo z pod pióra szlachetnej autorki amerykańskiej, miss Maryi Wilkins, poetki i powieściopisarki: „A New England Nun.“ Są to opowieści niezwykłych, światobliwych czynów kobiety na polu ludzkości i miłosierdzia chrześcijańskiego, pisane, nie z celem efektów literackich, ale z zamiarem oddziaływania na uczucie, na sumienia czytelniczek. Powieści: „A Far Away Melody“ „A Humble Romance“ kreślone z tą samą myślą, przedstawiają obrazy żywotnych potrzeb każdej istoty ludzkiej na wszelkim stopniu drabiny społecznej i kultury umysłowej; mogą też liczyć się autorce do aktów dobroczynnych, tak rozbudzania w pierś czytelnika uczucie ludzkości, miłości bliźniego, jak i podnoszenia go duchem ponad najmniej szlachetną pychę — pychę z posiadanego majątku.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Carmen Sylva (dalszy ciąg). — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Karol Estreicher, przez Stanisława Krzemińskiego (dokończenie). — Ze znalezionych kartek (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 11-y powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 31 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**



## PRZEGLĄD MÓD.

Suknie balowe. — Kwiaty. — Jak się bawią. — Suknie u p. Herzego na bal na szpitalik.

Ponieważ to jeszcze karnawał choć już-już dobiega swego kresu, jednak nie może nas nie więcej jak suknie balowe interesować. Zdobi je wszystko co kto chce, ma i lubi—głównie jednak pióra i kwiaty. Brzeg sukni jeżeli nie w około, bo ponieważ dziś wszystkie są z trenem krótkim, to choć z przodu zdobi rodzaj riuszy lub falbanki z kwiatów czy piór. Widzieliśmy śliczne także riusze z kwiatów i zastosowane do nich oszycia gorsu w cenach nader niskich w fabryce kwiatów a dziś i w magazynie kapeluszy pani Siwińskiej, Krakowskie Przedmieście Nr 61. U pani Maryi Hoffman, w znanej pierwszorzędnej fabryce kwiatów zastaliśmy przygotowany garnitur róż czyli pączków do balowej toalety—śliczne to było. Na długiej gałązce spadały niby frendzla różnokolorowe pączki róż — a co za pączki! Na rękawy które dziś i przy wygorsowanym staniku muszą być wysokie czyli z epoletami były pęki róż, rozwinięte, ułożone w ten sposób, iż formowały bufiaste rękawki, do boku róża z gałęzią ułamaną obfitych liści; dodać jeszcze muszę, że od epoletów szły cieniutkie gałązki z liści, krzyżujące się na piersiach i na plecach w kształcie szelek.

Jak przewidywaliśmy bawią się mniej, kto wie, czy oprócz szczyrby w stosunkach finansowych i owe straszne zasy śniegowe nie są temu powodem, komunikacja utrudniona, a ten całun biały oziębia chęć do zabawy, byle tylko nie oziębił serca tego najwyższego i najważniejszego motoru życia. A jednak były ładne toalety na balu środowym, pomimo iż każdy jak może sztukuje i odświeża zeszłoroczne, bo dla czegoż miałyby leżeć bezużytecznie, jednak widzieliśmy i nowe bardzo ładne. Otóż na najsympatyczniejszy bal na szpital dziecinny u pana Herzego były przygotowane śliczne toalety: pierwsza z lamy srebrnej, mieszanej z gładką żółtą gazą, przód osztyty w dole bobrami, berta gazowa przybrana kryształowemi grelotkami. Druga biała „faille“, cała srebrem haftowana, z przodu tiunika czy też falbana z kryształami i srebrem. Dla starszej damy była biała atlasowa, pokryta czarnemi koronkami „Chantily“, przód haftowany kamieniami i złotem. Inna dla młodej mężatki była biała „faille“ (zapewne słubna), przybrana żółtymi hyjacentami, które u berty i w dole formowały frendzle.

W magazynie pani Anny widzieliśmy suknię dla księżny P. koloru lila, stanik i tren z „faille“, przód owa cudna fantazyja, którą opisywaliśmy u pana Makowskiego na lila „crépe-chine“, haftowane stokrotki lipowego koloru ze złotymi i zielonemi liśćmi, stanik wycięty, tajemniczo zapięty, w górze przypominał przód kolorem „crépe-chine“. Druga suknia dla ślicznej angieli była sukienna koloru „tortellette“, dawniej zwany „pigeons“ kolor niebieskawo-popielaty, jasny, cała haftowana srebrem, z przodu zamiast berty było zmarszczenie haftowane srebrem, i powiedzieć sobie, że suknia balowa sukienna znaczy dziś „grand chic“. Dalej jeszcze u pani Grąbczewskiej była bardzo ładna suknia biała sukienna z karczkiem dobrze wyciętym ze złota, ułożonego z greckich szlaków w połączeniu z kołnierzem „à la Médicis“ wysoko stojącym cały na drucikach, przód sukni odpowiednio złotymi szlakami przybrany,—a jakie ładne sukienki dla panienek z gazy białej w kratę atlasową, zebrane z przodu biorąc materiał ukośnie w jedną dużą buffę, z pod której wychodzi w dole sutka riusza tiulowa, wszystkie przybrane dzwonkami różowemi. Staniki, jeżeli w tyle zapięte, są przeważnie sznurowane, lub z boku niewidocznie zapięte.

Postaramy się jeszcze opisać piękniejsze kostiumy z przyszłego Sobotniego balu.

L. C.

### Kostium rumuński.

Rycina Nr 1.

Spódnica 93 c. dług. a 280 c. szer. z materiału wełnianego krepowanego koloru białego, haftowana w dolnym brzegu, ścięciem płaskim, łańcuszkowym i Holbejna, jedwabiem czarnym, ciemno-ponsowym, złotym i blaszkami złotymi. Druga spódnica 87 c. dług. a 170 c. szer. z materiału wełnianego koloru czarnego przetykanego nitką kolorową i srebrną. Fartuszek z tegoż materiału odpowiedniej długości a 43 c. szer., przymocowany do spódnicy. Bluzka z krepou ozdobiona haftem. Pasek haftowany 4 c. szer. a 250 c. dłu. zakończony kwastami, związany jak wskazuje ryc. Woal 62 c. szer. 330 c. dł. z gazy jedwabnej koloru białego ozdobiony haftem złotym.

### Kostium helgołandski.

Rycina Nr 2.

Spódnica z materiału wełnianego koloru czarnego, obszyta kilka razy w dolnym brzegu wstążką aksamitną, koloru zielonego i ponsowego. Stanik w rodzaju gorscika z sukna zielonego, przybrany czarnym aksamitem, zasznurowany czarną jedwabną wstążką na napierśniku z sukna ponsowego. Chusteczka z białego batystu skrzyżowana na piersiach. Kapelusz helgołandski i fartuszek z tegoż materiału.

### Kostium ormiański.

Rycina Nr 3.

Spódnica skrajana razem ze stanikiem formą „princesse“ z białej flanelki, dolny brzeg naśladowujący spódnice pod wójną, ozdobiony szlakiem 3½ c. szer. z materiału kolorowego jedwabnego w pasy. Napierśnik z tegoż materiału. Pasek szeroki z materiału jedwabnego ponsowego zakończony frendzlą złotą i związany w tylnej części jak wskazuje ryc. Płaszcz z materiału białego wełnianego, przetykanego złotem, obszyty galonem złotym 9 c. szer. Rękawy podszyte materiałem jedwabnym niebieskim. Cekiny na szyi i czapeczka z ponsowego aksamitu, ozdobiona haftem i kwastami.

### Czepeczek z wstążki i szlaczków haftowanych z gazy.

Rycina Nr 6.

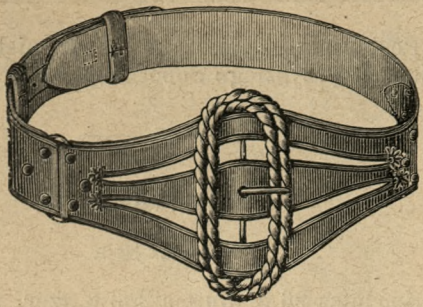
Wykonać karczek z petynетки białej 36 c. dł., 6 c. szer. z przodu a po bokach 1½ cent. otoczyć wstążeczką i drucikiem. Przód przybrać dwoma rzędami.



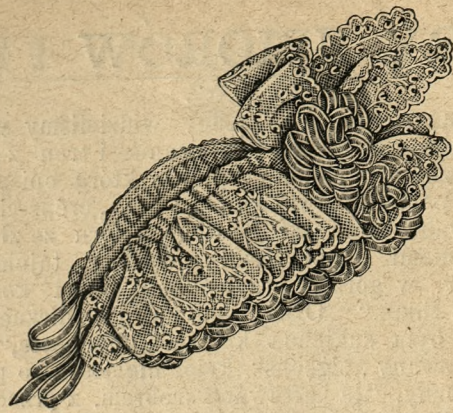
Nr 1. Kostium rumuński

Nr 2. Kostium helgołandski.

Nr 3. Kostium ormiański.



Nr 4. Pasek ze skóry z klamrą stalową.



Nr 6. Czepek ze wstążki i gazy haftowanej.



Nr 5. Pasek z dżetu.

pukli z wstążki niebieskiej „bébe.“ Szlak haftowany na gazie jedwabiem białym i niebieskim 10 cent. szer. ułożony podług ryc., rozety z pukli i kokarda z gazy haftowanej ułożona na druciku wykończa całość.

### Czepek dla starszej osoby.

Rycina Nr 13.

Forma z petynki czarnej 52 cent. dług., ścięta w ząb w części przedniej, objęta drucikiem i wstążeczką. Główka z czarnego tiulu 35 c. dł. a 36 cen. szer., pokryta czarną koronką 8 cent. szer. w deseń kropkowany. Część przednia karczka otoczona dwoma rzędami jeden na drugim koronki ułożonej w kontrafałdy 2 c. szerokiej. Wstążka gazowa w deseń.



Nr 7—12. Biżuteria damska z dżetu (łańcuszek do zegarka, przepięcie do włosów, broszka, naszyjnik i bransoletka).

netki 50 c. dł., ścięty w przedniej części w ząb. Główkę stanowi część tiulu 34 c. wysk. a 30 cent. szer., zaokrąglona w górnym brzegu, przyozdobiona wzdłuż w prostym kierunku wstążką marszczoną, pokrytą koronką 6 cent. szer. Przedni brzeg otoczony dwoma rzędami koronki 2 c. szer. Boki i część górna przybrana koronką i kokardami podług ryciny.

### Kapelusz z aksamitu odpowiedni do teatru.

Rycina Nr 18.

Kapelusz w rodzaju kapotki z aksamitu koloru „aubergine.“ Część przednia przybrana płasko położoną kokardą ze wstążki złotej haftowanej srebrem i rodzajem sprzączki z dżetu. Piórko fantazyjne „Lophofor“ i wstążki do wiązania aksamitne koloru „aubergine“ wykończają całość.

### Okrycie balowe z sukna ozdobione złotym haftem.

[Rycina Nr 15. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 43—46).

Okrycie z sukna koloru białego podszyte tegoż koloru atłasem. Po dopełnieniu złożenia fig. 45a

i 45b i połączeniu części wzdłuż linii przecięcia od A do B skrajając z sukna fig. 43, 45ab i 46 po dwie części. Fig. 44 jedną część złożoną wzdłuż środka, zwracając uwagę na kontur lewej przedniej części w fig. 45ab. Zeszyć karczek od 22 do 23 i przymocować na ramionach na podchodzącym materiale, małe waleczki z waty. Po zeszytciu peleryny od 24 do 25 ułożyć w fałdy, mocując † na kropce, zmarszczyć od \* do \* i przyszyć na sztorc do karczka od 24 do 26 wzdłuż linii. Kołnierz zeszyć od 27 do 28 i wszyć w karczek od 27 do 29. Róg peleryny który zarzuca się na lewe ramię zakończyć kwastem złotym.

zania aksamitne koloru „aubergine“ wykończają całość.

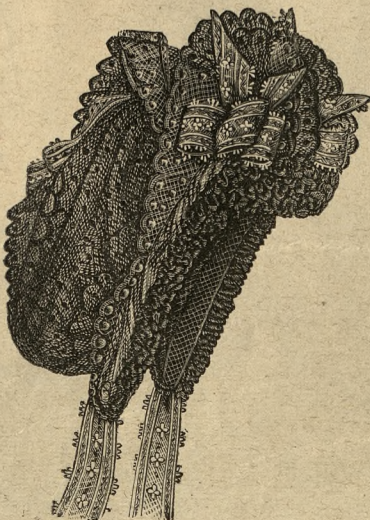
### Suknia spacerowa z bengaliny i aksamitu.

Rycina Nr 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 47—53).

Suknia z bengaliny koloru popielatego i z aksamitu w ciemniejszym kolorze. Spódnica z pod-



Nr 14. Okrycie balowe z kaszmiru ozdobione haftem złotym (do ryc. Nr 27). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22—24.

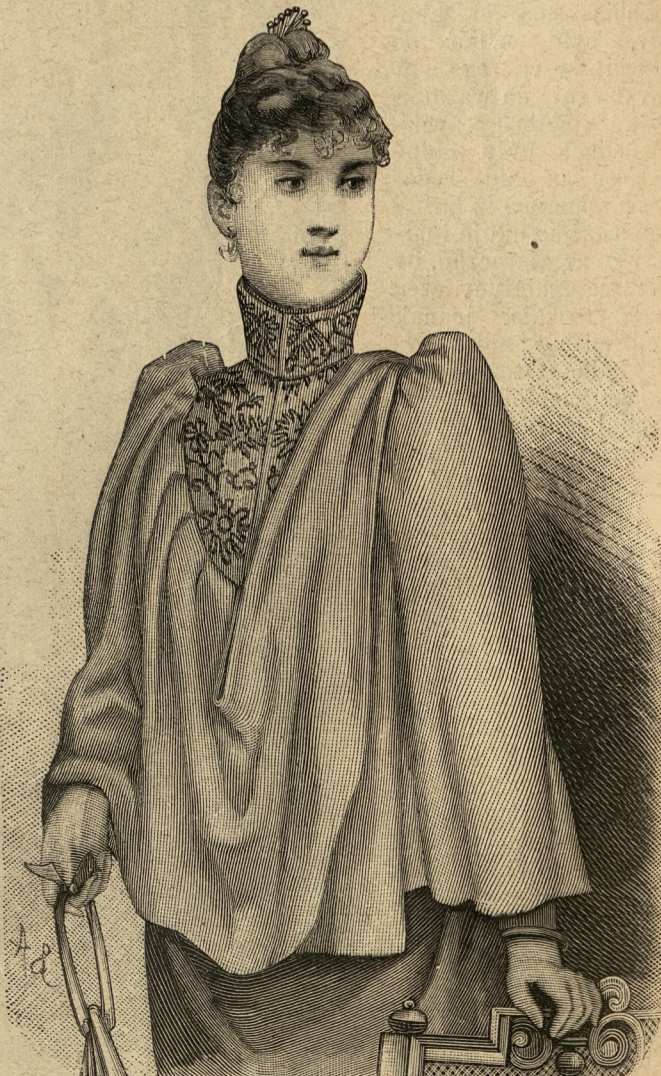


Nr 13. Czepek dla starszej osoby.

### Czepek dla starszej osoby.

Rycina Nr 16.

Czepek z białego tiulu w muszki przybrany wstążką koloru lila. Karczek z pety-

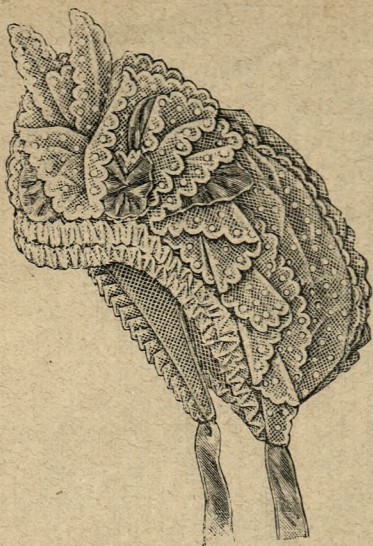


Nr 15. Okrycie balowe z sukna ozdobione haftem złotym. (Krój odwr. str. tablicy Nr VIII, fig. 43—46).

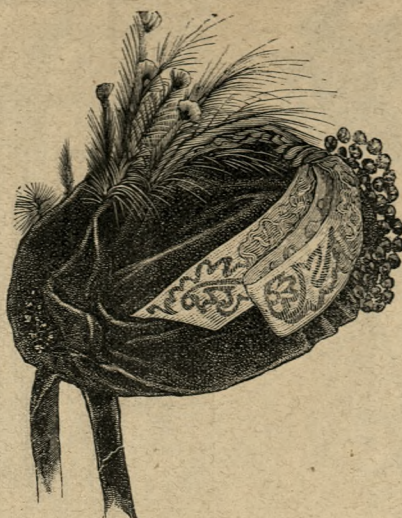
szewki wykonana zwykłym sposobem, objęta w dole aksamitem o wiele tego potrzeba wymaga. Tiunikę skrajając z uwzględnieniem zmniejszonego kroju podług fig. 47 jedną część. Ozdobić takową w dolnej części szlakiem pasmanteryjnym 15 c. szer., wykonanym z srebrno - popielatego sznureczka. Górną część ułożyć w fałdy, mocując każdy  $\dagger$  na kropce, oraz  $\dagger$  oznaczone literami na kropce temiż literami oznaczonych. Powyżej znajdujący się materiał wyciąć. Zeszyc część od 30 do 31 i ułożyć na spódnicy z podszewki, trafiając środek na środek. Stanik wykonać gładki i podług ryc. ozdobić pasmanterią. Kaftanik skrajając z aksamitu i jedwabnej podszewki podług fig. 48—53 po dwie części z uwzględnieniem konturu prawego tylnego brzegu. Zeszyc plecy podług cyfr, przyszyć wzdłuż linii poły od 40 do 37, połączyć przednie części, boczki i poły z plecami. Wszyć kołnierz zaopatrzony podkładem i podszewką, w przednim brzegu przyszyć



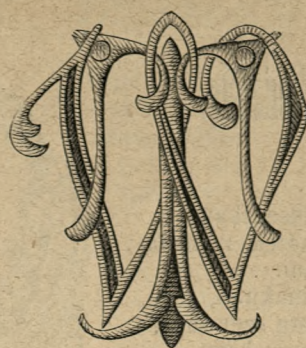
Nr 17. Monogram.



Nr 16. Czepeczek dla starszej osoby.



Nr 18. Kapelus z aksamitu odpowiedni do teatru.



Nr 19. Monogram.

haftki do zapinania i ozdobić kaftanik pasmanterią podług ryc.

### Napierśnik ułożony z chusteczki.

Rycina Nr 22.

Chusteczka kwadratowa z gazy jedwabnej niebieskiej (35 cent. w kwadrat), otoczona szlakiem haftowanym rozmaitego koloru jedwabiami. Dwa końce wstążki niebieskiej 6 c. szer. a 46 c. długiej zeszyc w około od dolnego do górnego brzegu na 16 cent. szer. i na tej podstawie ułożyć napierśnik podług ryc.

### Szlak do firanek (point-lace).

Rycina Nr 31 (do Bl. Nr 2 ryc. Nr 19). Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 29.

Przenieść deseń na grube płótno, podłożyć takowe ceratką i wzdłuż konturów przyszywać tasiemeczkę lnianą, układając i naddając w miarę potrzeby. Pojedyncze figury wypełniać ścięciem koronkowym. Pręciki łączące ścięciem okręcanym. Deseń fig. 29 czyli wstawkę wykonać tasiemeczką nieco szerszą i brzeg otoczyć szlakiem 10 cent. szer. z tkaniny „Congrès”, który stosownie do upodobania można przyozdobić haftem wykonanym bawełną koloru białego.

### Przepisy gospodarskie.

#### Kruszon lub bola.

Nie wiem czy każda z moich czytelniczek wie co to jest kruszon a co bola. Kruszon jest to wykwinny napój tegożczesny robiony z wina i różnych aromatycznych owoców; prawdziwy najwykwintniejszy robi się na samym szampanie, z powodu jednak wysokiej ceny tego wina, ludzie się sami oszukują i robią go na białem lub czerwonym winie, najlepiej na reńskim, można je-

dnak na każdym francuzkiem, czy to „Chablis”, czy Sauterne, co znaczy, że można i na krymskiem, które jeżeli dobre, stanowczo wytrzymuje konkurencją z francuzkami, nie mówię już o Chateau-Yquem, bo to wysokie wino tylko

francuzkie może być dobre. Jeżeli więc napój ten zrobiony jest na szampanie zowie się kruszonem, jeżeli na białem francuzkiem winie, bola. Na 8 do 10 osób wzięść pół funta a można i więcej cukru rąbanego, włożyć do wazy, nalać kieliszek od wina koniaku lub białego araku, i wkrajać dwie pomarańcze w plastry, odrzucając starannie pestki. Niech to postoi z godzinę, włożyć kawał lodu, wysypać garść świeżych lub lżyżkę smarzonych ananasowych truskawek lub wybranych poziomek, wreszcie ananasa, innych ani owoców ani konfitur nie można, wymieszać dobrze wszystko, a gdy cukier już rozpuszczony rozebrać to dwoma butelkami szampana, reńskie lub francuzkiego wina. Można użyć krymskiego, nawet czerwonego, w końcu, jeżeli jest, wlać kieliszek likieru maraskinowego. Podaje się w wysokich małych szklaneczkach a z tej proporcji będzie 24 najmniej.

L. C.



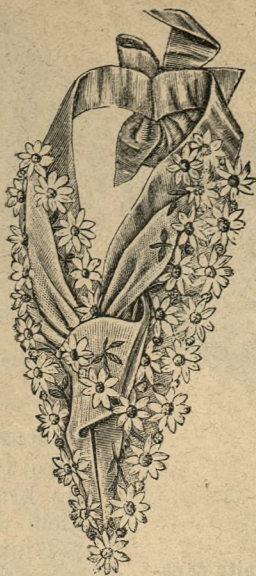
Nr 20. Suknia spacerowa z bengaliny i aksamitu. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 47—53).



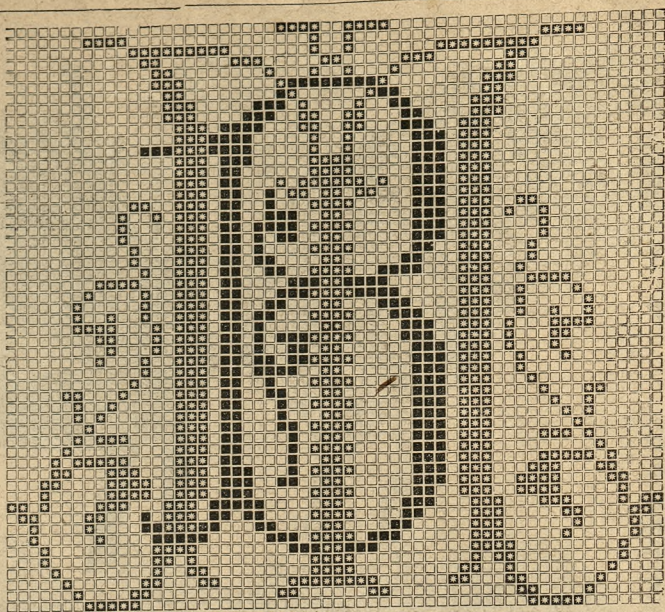
Nr 21. Suknia dla panienci od 14—16 lat (do ryciny Nr 20 w Bl. Nr 6). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—21.

# Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z kluseczkami.
2. Potrawa z kaczek z perłowką kaszą i grzybami.
3. Budyń ze szpinaku.
4. Zając z kapustą czerwoną.
5. Legumina z orzechow.



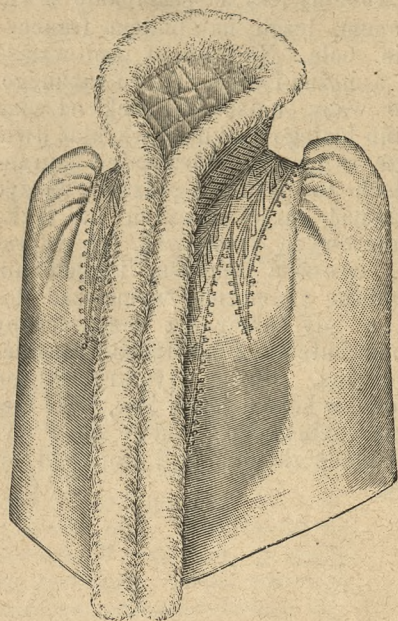
Nr 22. Napiersnik ułożony z chusteczki.



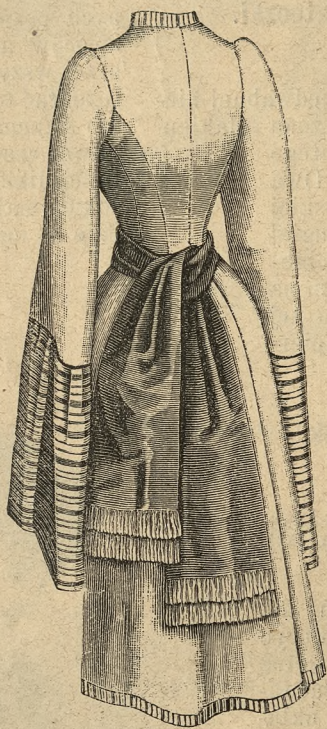
Nr 23. Monogram.

## UWAGA

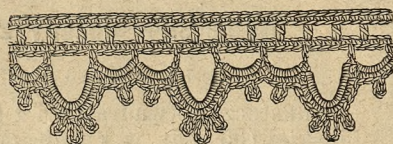
Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mające.



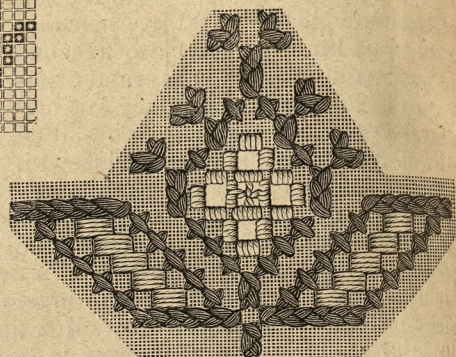
Nr 27. Okrycie balowe (do ryc. Nr 14). Krój i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 22—24.



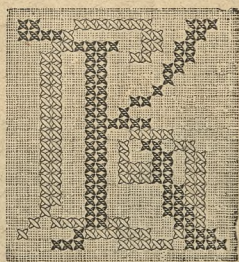
Nr 29. Tylna część sukni (do ryc. Nr 3).



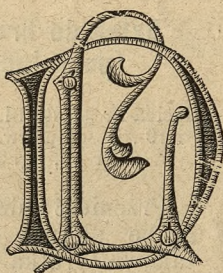
Nr 24. Koronka (robota szydełkowa).



Nr 26. Figura do ryc. Nr 13 w Bl. Nr 1. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII).



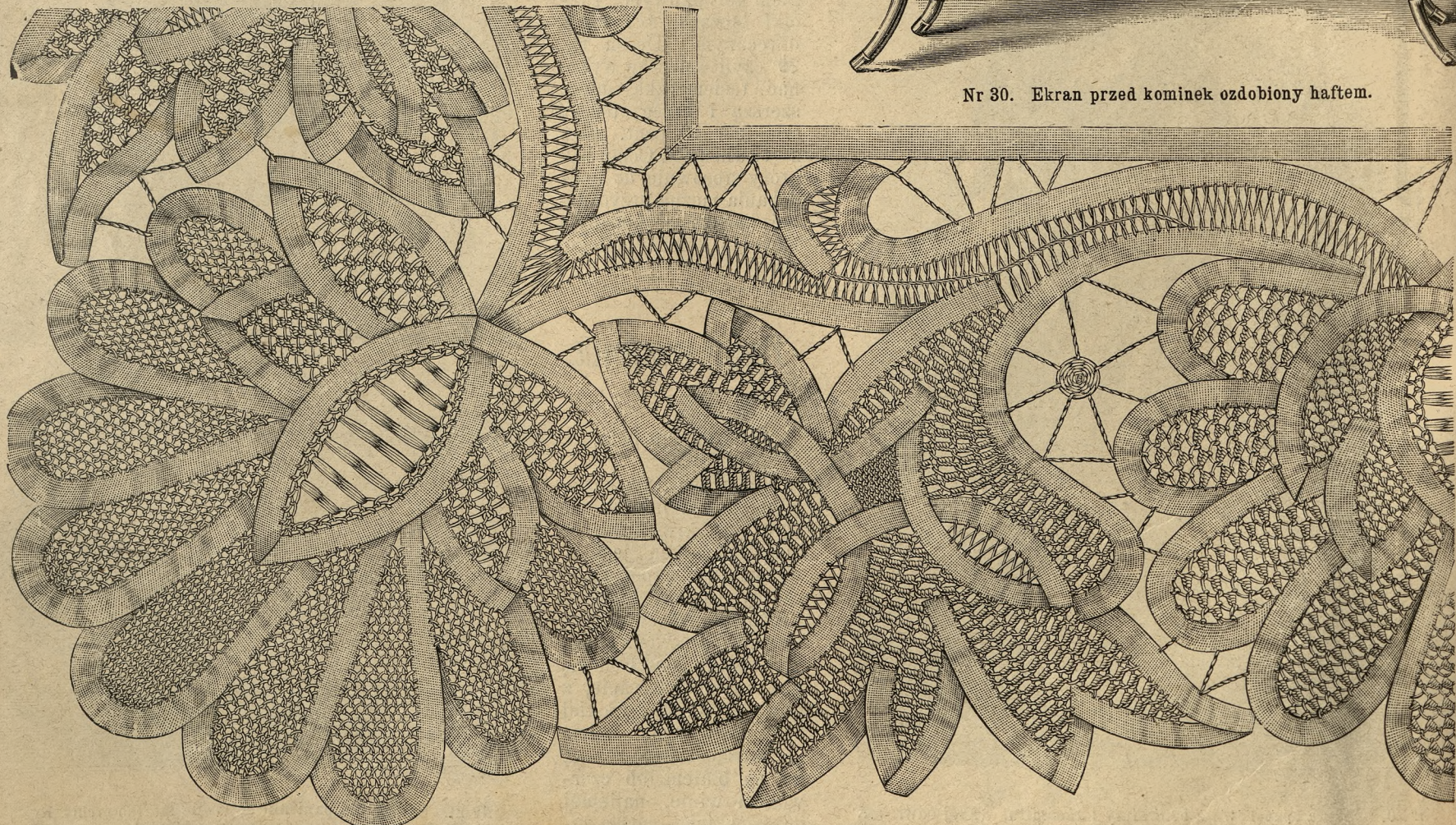
Nr 28. Monogram.



Nr 25. Monogram.



Nr 30. Ekran przed kominek ozdobiony haftem.



Nr 31. Szlak do franek (do ryc. Nr 19 w Bl. Nr 2) point-lace. Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 29.